Adres Redakcji: Kraków, ul. Filipa 17.

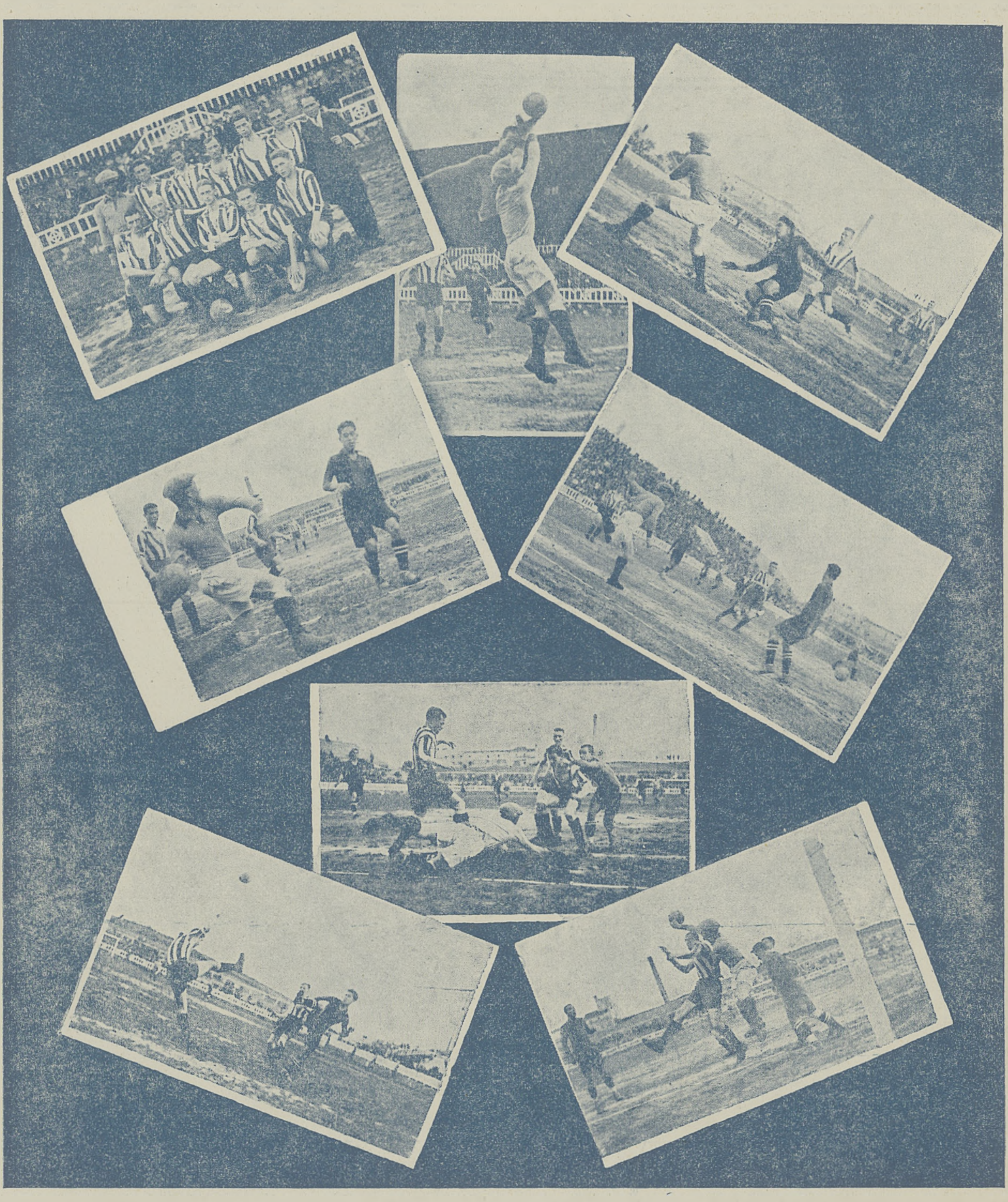
Cena Mkp. 600.000.

PRZEGLĄD SPORTOWY

TYGODNIK ILUSTROWANY, POŚWIĘCONY WSZELKIM GAŁĘZIOM SPORTU



ZESZYT GWIAZDKOWY



Z pamiętnej podróży Cracovii do Hiszpanji.

Momenty z spotkań z F. C. Barcelona w Barcelonie, Real Clubem w Madrycie i F. C. Valentia w Walencji.

1924 ROK OLIMPJADY 1924

KALENDARZYK NA ROK 1924.

STYCZEŃ

1	W	N. Rok. Miecz.
2	S	Makarego
3	C	Genowefy
4	P	Tytusa
5	S	Telesfora
6	N	Trzech Króli
7	P	Łucjana
8	W	Marcjanny
9	S	Seweryna
10	C	Juljana m.
11	P	Honoraty
12	S	Ernestyna
13	N	Hilarego
14	P	Feliksa m.
15	W	Pawła
16	S	Marcelego
17	C	Antoniego
18	P	Piotra
19	S	Henryka
20	N	Fabjana i Seb.
21	P	Agnieszki
22	W	Wincentego
23	S	*Zaśl. M. P.*
24	C	Tymoteusza
25	P	Nar. św. Pawła
26	S	Polikarpa
27	N	Jana Chryz.
28	P	Karola ces.
29	W	Franc. Sal.
30	S	Martyna
31	C	Piotra Nol.

LUTY

1	P	Ignacego
2	S	N.M.P. Gromn.
3	N	Błażeja
4	P	Andrzeja
5	W	Agaty
5	S	Doroty
7	C	Romualda
8	P	Jana z M.
9	S	Apolonji
10	N	Scholastyki
11	P	N.M.P. z Lourd
12	W	Eulalji
13	S	Anieli z F.
14	C	Walentego
15	P	Faustyna
16	S	Juljana
17	N	Konstancji
18	P	Symeona
19	W	Konrada
20	S	Leona
21	C	Andrzeja
22	P	Kat. św. Piotra
23	S	Piotra D.
24	N	Zygfryda
25	P	Macieja
26	W	Małgorzaty
27	S	Aleksandra
28	C	Romana
29	P	Leandra

MARZEC

1	S	Albina
2	N	Symplicjusza
2	P	Kunegundy
4	W	Kazimierza
5	S	*Popielec*
6	C	Kolety
7	P	Tomasza
8	S	Jana B.
9	N	Franciszka
10	P	40 męczenników
11	W	Pelagji
12	S	Grzegorza
13	C	Wincent. Kadł.
14	P	Matyldy i Leona
15	S	Klemensa i Izab.
16	N	Hilarego
17	P	Patrycego
18	W	Gabrjela arch.
19	S	*Józefa Oblub.*
20	C	Klaudji
21	P	Benedykta
22	S	Katarzyny
23	N	Wiktora
24	P	Irenjusza
25	W	Zwiast. N.M.P.
26	S	Ludgiera
27	C	Ruperta
28	P	Sykstusa
29	S	Fustazego
30	N	Kwiryna
31	P	Balbiny

KWIECIEŃ

1	W	Teodora
2	S	Franciszka
3	C	Ryszarda
4	P	Kazimierza
5	S	Wincentego
6	N	Celestyna
7	P	Rufina
8	W	Djonizego
9	S	Marji Kleof.
10	C	Marji Egipc.
11	P	Leona
12	S	Juljusza
13	N	Palmowa
14	P	Justyna
15	W	Kroscentego
16	S	Benedykta
17	C	*W. Czw.* Rudolfa
18	P	*W. P.* Apolonji
19	S	*W. Sob*, Tymona
20	N	Wielkanoc Wikt.
21	P	Poniedz. Wielk.
22	W	Sotera i K.
23	S	Wojciecha
24	C	Jerzego
25	P	Marka ew.
26	S	NMP. D. R.
27	N	Zyty
28	P	Pawła
29	W	Piotra m.
30	S	Katarzyny Sen.

MAJ

1	C	Filipa
2	P	Zygmunta
3	S	Konst. 3 maja
4	N	Florjana
5	P	Piusa
6	W	Jana z Ol.
7	S	Domiceli
8	C	Stanisława b.
9	P	Grzegorza
10	S	Antonina
11	N	Mamerta b.
12	P	Pankracego
13	W	Serwacego
14	S	Bonifacego
15	C	Zofji
16	P	Jana Nepom.
17	S	Paschalisa
18	N	Feliksa K.
19	P	Piotra Cel.
20	W	Bernarda
21	S	Wiktora
22	C	Julji p.
23	P	Kryspina
24	S	Wsp. N. M. P.
25	N	Grzegorza
26	P	Filipa N.
27	W	Magdaleny
28	S	Germana
29	C	Wnieb. P. J.
30	P	Feliksa
31	S	Anieli i Petr.

CZERWIEC

1	N	*Serca N.M.P.*
2	P	Erazma
3	W	Klotyldy kr.
4	S	Franciszka
5	C	Bonifacego
6	P	Norberta
7	S	Roberta
8	N	Zielone Świąt.
9	P	Pon. Ziel. Św.
10	W	Małgorzaty
11	S	Barnaby
12	C	Jana z F.
13	P	Antoniego
14	S	Bazylego
15	N	Trójcy Przen.
16	P	Benona
17	W	Germana
18	S	Marka
19	C	Boże C., Juljana
20	P	Sylwerjusza
21	S	Alojzego
22	N	Paulina
23	P	Marjanny
24	W	Jana Chrzciciela
25	S	Wilhelma
26	C	Jana i Pawła
27	P	*Serca Jezusow.*
28	S	Leona pap.
29	N	Piotra i Pawła
30	P	Wsp. św. Pawła

LIPIEC

1	W	Teodoryka
2	S	Naw. N.M.P.
3	C	Anatola
4	P	Prokopa
5	S	Antoniego
6	N	Cyryla i Met.
7	P	Klaudjusza
8	W	Elżbiety
9	Ś	Weroniki
10	C	7 Br. m., Amalji
11	P	Filomeny
12	S	Jana Gwalb.
13	N	Małgorzaty
14	P	Bonawent.
15	W	Rozesł. Ap.
16	S	*N.M.P. Szkapl.*
17	C	Aleksego
18	P	Kamili
19	S	Wincentego
20	N	Czesława
21	P	Onufrego
22	W	Marji Magdaleny
23	S	Apolinarego
24	C	Krystyny
25	P	Jakóba ap.
26	S	Anny
27	N	Pantaleona
28	P	Wiktora
29	W	Marty i Simp.
30	Ś	Abdona
31	C	Ignacego

SIERPIEŃ

1	P	Piotra
2	S	*N.M.P. Aniel.*
3	N	Zn. św. Szczep.
4	P	Dominika
5	W	*N.M.P. Śnież.*
6	S	*Przemien. P. J.*
7	C	Kajetana
8	P	Cyrjaka
9	S	Romana
10	N	Wawrzyńca
11	P	Zuzanny
12	W	Klary
13	S	Hipolita
14	C	Euzebjusza
15	P	Wnieb. N.M.P.
16	S	Rocha w.
17	N	Anastazego
18	P	Agapita i Heleny
19	W	Benigna p.
20	S	Bernarda
21	C	Joanny
22	P	Symforjusza
23	S	Filipa
24	N	Bartłomieja
25	P	Ludwika
26	W	Zefiryny
27	S	Józefa Kal.
28	C	Augustyna
29	P	Ścięcie św. Jana
30	S	Róży z L.
31	N	Rajmunda

WRZESIEŃ

1	P	Idziego
2	W	Stefana kr.
3	S	Bronisławy
4	C	Rozalji
5	P	Wawrzyńca
6	S	Zacharjasza
7	N	Reginy
8	P	Narodz. N.M.P.
9	W	Gorgonjusza
10	S	Mikołaja
11	C	Emiljana
12	P	Walerjana
13	S	Maurylji
14	N	*Podn. św. Krzyża*
15	P	Nikodema
16	W	Kornela
17	S	Blizny św. Fran.
18	C	Józefa z K.
19	P	Januarjusza
20	S	Eustachego
21	N	Mateusza
22	P	Tomasza
23	W	Linusa i Tekli
24	S	*M. B. Bol.* Wł.
25	C	Kleofasa
26	P	Cyprjana
27	S	Kosmy i D.
28	N	Wacława
29	P	*Michała Arch.*
30	W	Hieronima

PAŹDZIERNIK

1	S	Remigjusza
2	C	*Aniołów Stróżów*
3	P	Kandyda
4	S	Franc. Ser.
5	N	Placyda
6	P	Brunona
7	W	Justyny
8	S	Brygidy
9	C	Djonizego
10	P	Franciszka
11	S	Placydy p.
12	N	Maksymiljana
13	P	Edwarda
14	W	Kaliksta
15	S	Jadwigi
16	C	Florentyna
17	P	Lucjana
18	S	Łukasza ew.
19	N	Piotra z Aw.
20	P	Ireny p. m.
21	W	Urszuli
22	S	Korduli
23	C	Jana Kap.
24	P	Rafała arch.
25	S	Kryspina
26	N	Ewarysta
27	P	Sabiny
28	W	Szymona i Judy
29	S	Narcyza
30	C	Zenobjusza
31	P	Lucyli

LISTOPAD

1	S	Wszyst. Święt.
2	N	*Dzień zaduszny*
3	P	Huberta
4	W	Karola B.
5	S	Zacharjasza
6	C	Leonarda
7	P	Engelberta
8	S	Godfryda
9	N	*O. N.M.P.*
10	P	Andrzeja
11	W	Marcina
12	S	5 Braci męcz.
13	C	Dydaka
14	P	Jozafata
15	S	Leopolda
16	N	Edmunda
17	P	Salomeji
18	W	*Pośw.Bazyl.* Rom.
19	S	Elżbiety
20	C	Feliksa
21	P	*Ofiar. N.M.P.*
22	S	Cecylji
23	N	Klemensa
24	P	Emilji i Jana
25	W	Katarzyny
26	S	Sylwestra
27	C	Leonarda
28	P	Rufina m.
29	S	Saturnina
30	N	*1 Adw.* Andrzeja

GRUDZIEŃ

1	P	Eligjusza
2	W	Bibjana
3	S	Franciszka
4	C	Barbary
5	P	Piotra Chr.
6	S	Mikołała b.
7	N	Ambrożego
8	P	Niep. Pocz.NMP.
9	W	Leokadji
10	S	*Prz. do N.M.P.*
11	C	Damazego
12	P	Aleksandra
13	S	Łucji i Otylja
14	N	Spir.
15	P	Walerjana
16	W	Euzebjusza
17	S	Łazarza
18	C	Ocz. *N. M. P.*
19	P	Tymoteusza
20	S	Pelagji i Teofila
21	N	Tomasza
22	P	Zenona
23	W	Wiktorji
24	S	Ad. i Ewy *Wigilja*
25	C	Boże Narodzenie
26	P	Szczepana m.
27	S	Jana ew.
28	N	Młodzianków
29	P	Tomasza b.
30	W	Eugenjusza
31	S	Sylwestra

PRZEGLĄD SPORTOWY

TYGODNIK ILUSTROWANY, POŚWIĘCONY WSZELKIM GAŁĘZIOM SPORTU

OFICJALNY ORGAN POLSKICH ZWIĄZKÓW SPORTOWYCH

Nr. 51 (136). | Rok III.

ZESZYT GWIAZDKOWY

Sobota, 22 grudnia 1923.



Czytelnikom naszym, współpracownikom i przyjaciołom, jak i wszystkim polskim sportowcom — życzenia Wesołych Świąt składa

PRZEGLĄD SPORTOWY.



Polska wobec Igrzysk olimpijskich.

Z rokiem 1924 staje sport polski wobec największej próby, jakiej żądano od niego kiedykolwiek. Po raz pierwszy w historji polskiego sportu wystąpić mają nasi zawodnicy pod sztandarem własnego państwa w wielkiem spotkaniu wszystkich cywilizowanych narodów. Pod pręgierzem międzynarodowej krytyki stosującej najwyższe kryterja osądu, złożyć mają świadectwo z dorobku, osiągniętego przez Polskę na polu kultury fizycznej. Jakież bowiem trudne i odpowiedzialne czeka nas zadanie! Każdy, kto zastanowi się poważnie nad znaczeniem roli, która spadnie na ich barki, nie może opędzić się uczuciu troski i obawy na myśl, jak wypadnie ten ich pierwszy wszechświatowy egzamin. Każdy, porównując poziom naszego sportu z zagranicą, zadaje sobie z cicha pytanie, czy nie lepiej byłoby wogóle od egzaminu tego uchylić się. Czy od występowania na boisku nie byłoby stosowniejszem poprzestanie na widowni, z której zebrać można wszelkie potrzebne doświadczenia, bez narażenia się na „blamaż“, lub może ograniczyć się do pochodu i reprezentacji i poprzestać na tem. Wszystkie te wątpliwości i mnóstwo jeszcze innych mają oczywiście wiele słuszności za sobą. Mimo tego niema dziś w Polsce sportowca, któryby podniósł głos przeciwko czynnemu wystąpieniu Polski na Olimpjadzie. Zupełna i jakgdyby odruchowa zgodność polskiej opinji w tej sprawie, jest najlepszem świadectwem tego stanu rzeczy.

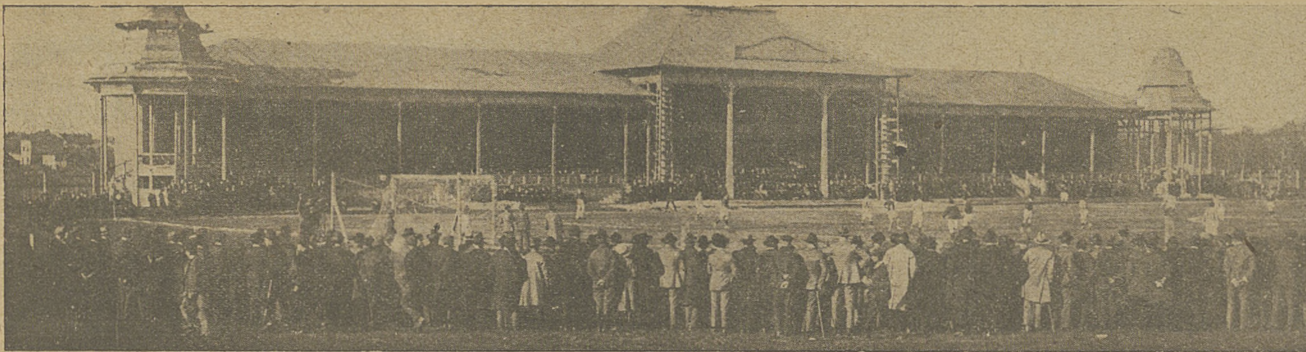
Nad znaczeniem Olimpjad nie trzeba dziś rozwodzić się w piśmie sportowem. Kto ze sportowców nie objął go umysłem, odczuwa je poprostu swoim sportowym instynktem. Sprawa, która wyrosła ze sportu, jest jego wielkiem i nieśmiertelnem dziełem, własnością i ukochaniem, która powstała z jego pracy, zasług, z jego krwi i nerwów, która, krótko mówiąc, jest najwyższem ucieleśnieniem ożywiającej sport idei — nie potrzebuje uzasadnień ani obrony. Ze przytem stały się Olimpjady największą manifestacją dorobku, na jaką zdobyła się współczesna ludzkość w jakiejkolwiek jego dziedzinie, nie wielu może zdaje sobie sprawę. Można powiedzieć bez przesady: cokolwiek powiedziałoby się o znaczeniu Olimpjad, wszystko to będzie zaledwie przeczuciem tej roli, jaką faktycznie odgrywają i odegrać mają w dziejach ludzkości. Porównajmy pierwszą, skromną i nieśmiałą Olimpjadę w Atenach, z tem, do czego przygotowuje się obecnie ludzkość z taką niebywałą pasją i entuzjazmem. Rozwinąć się tak żywiołowo, niezależnie od wszelkich przemian i katastrof, jakie przewaliły się przez świat przez ubiegłe trzydziestolecie — może tylko idea, do której należy przyszłość.

Zaś dla Polski najbliższa Olimpjada podwójne ma znaczenie. Raz, że po raz pierwszy występujemy w niej, jako wolny naród, drugie, że rola gospodarza przypadła w wypadku tym narodowi, który związał się z nami na całym froncie swego istnienia i bytu. Niewnet wystąpimy na igrzyskach olimpijskich pod podobnie szczęśliwą dla nas gwiazdą. Wpływ, jaki wywiera atmosfera środowiska na każdy przejaw twórczości, odegra swoją rolę i na Olimpjadzie, atmosfera ta będzie dla nas najprzychylniejszą. Jest to olbrzymi atut, którego znaczenie zna każdy sportowiec. Wie jednak równocześnie, że jest to rzecz, której nie wolno lekceważyć. „Fiasco“ naszej ekspedycji na gruncie dla nas obojętnym przyjętoby obojętnie, „fiasco“ w Paryżu wywołałoby uczucie zawodu, które trudniej potem naprawić niż obojętność.

O jakimże jednak „fiasco“ może być tu mowa? Oczywiście nie o ewentualnych porażkach na boisku, bo na te musimy być z góry przygotowani. Niepowodzenie, którego wystrzegać się należy, a które przynieść nam może istotną klęskę, wyniknąć może wtedy, gdy drużynie naszej nie stanie tego, co się nazywa „sportowym duchem“. Gdy zachowanie się jej, tak na boisku jak i poza niem, nie będzie pod każdym względem wzorowe. Gdy występując w zawodach, nie okaże w każdem spotkaniu chęci zwycięstwa, a każdej porażki nie przyjmie z godnością i spokojem. Gdy nie podporządkowuje się z bezwzględną karnością wszystkim regulaminom zawodów. Gdy wreszcie organizacyjnie nie będzie ujętą w sposób sprężysty, przewidujący i zapobiegliwy.

W ruchu naszym sportowym posiadamy jeden wielki kapitał, którym jest zaiste ideowy i czysty stosunek do sportu. Kapitał — i jedno wielkie „manco“, zasadzające się na dylentatyźmie w odnoszeniu do sportowej sprawy. Starajmy się, aby pierwsze zamanifestować w Paryżu w sposób mocny i wyraźny i usuńmy o ile możności drugie lub przynajmniej starajmy się, aby go tam nie zauważono. Stopień fachowości, z jakim zestawi się ekspedycję olimpijską i poprowadzi na paryskie boje, odegra pierwszorzędną rolę w ewentualnem jej moralnem powodzeniu lub porażce. Ludzi, którzy mogliby w Polsce podjąć się z powodzeniem trudnego kierownictwa ekspedycją olimpijską, jest bardzo niewielu — na dobrą sprawę dwóch lub trzech tylko. Dziś już należałoby się zapytać ich, czy misji tej zechcieliby się podjąć i dziś powinniby przystąpić do pracy.

Niezwłocznie też należałoby przystąpić do desygnowania kandydatów na przedstawicieli naszych w Paryżu. Nie dlatego, aby w przeciągu kilku miesięcy wyczarować z nich nowe rekordy, zbliżone więcej do olimpijskiego poziomu, ale dla utrzymania ich w pewnem maksimum sprawności fizycznej i co najgłówniejsza, celem zbliżenia ich tak między sobą jak i z kierownikiem ekspedycji. Byłoby najfatalniejszym błędem, gdyby ekspedycję zestawiono w ostatniej chwili z ludzi obcych sobie, niezgranych i nie poznanych gruntownie, tak sportowo jak i osobiście przez kierownika. Dzieje licznych już naszych występów zagranicą przyniosły nam bogate i nie zawsze wesołe doświadczenia w tym względzie. Drużyna nasza olimpijska musi być solidarna, zbratana, ożywiona przyjacielskim duchem. Do kierownika swego musi się odnosić z bezwzględnem zaufaniem. Tylko wtedy spodziewać się możemy od niej jakiego „cudu“ i tylko wtedy liczyć możemy na jej sukces w Paryżu, nawet gdy ani razu flaga Polski nie zawiśnie na olimpijskim maszcie.



G. Tel.

Ignac Pinder.

(Biografja przyszłości).

Ignac Pinder urodził się w miejscu, do którego w przyszłości nie przyznawał się nigdy. Naodwrót, miejscowość owa nie przyznawała się do Ignaca, jak długo w młodzieńczym wieku znieważał dzikiem zamiłowaniem do piłki ciche dostojeństwo ulic, w szczególności rynku, gdzie mieściła się poczta i apteka. Z rodziną też nie dochodził do ładu od chwili, gdy przeczytawszy jubileuszowy życiorys Synowca, z okazji setnego wystąpienia w reprezentatywce, buchnął mamie salopę, celem skonstruowania „szmacianki". Następnie, gdy zrealizowawszy ojcowski zegarek, pamiątkę z trzydziestoletniej wojny, skoczył do stolicy, aby obejrzeć mecz znakomitych Pat-ałłachów przeciwko niezawodnym Szpadałom.

W szkole, dokąd dostał się siłą ciemnych nawyków środowiska, które przerósł indywidualnością, dochodził z pedagogami do najdziwniejszych konfliktów. N. p. gdy zadawano mu pytanie kiedy Niemcy pobiły Austrję, oświadczał bez namysłu — przed dwoma miesiącami w Berlinie 3:1 — to znów, gdy zwycięstwo pod Wagram przypisywał drowi Leserowi. Z matematyką nie było lepiej. 3:3 znaczyło, zdaniem jego „remis", 4 x 100 sztafeta. W fizyce zdradzał pewne zamiłowanie do kinetyki i przez pewien czas uchodził nawet za talent klasowy w tym przedmiocie. Cóż, kiedy i tu obraził profesora w chwili, gdy ten podczas wykładu pozwolił sobie na założenie, że punkt *a* posuwa się na przestrzeni 100 m. z średnią szybkością 20 m. na sekundę. Powstał wówczas, ostrzegł profesora, aby nie „kiwał", gdyż rekord światowy na 100 wynosi 10·4 sekund. Posądzony o bzika, oświadczył pedagogowi: kup se pan „Przegląd Sportowy" i opuścił salę a rychło potem i szkołę. Czas pewien obijał się jeszcze pod rodzinną strzechą, oczekując, aż dokoła niego dojrzeje ostatecznie przekonanie, że się nadaje na wieczysty depozyt do kryminału. Chcąc przyspieszyć tę decyzję, urządzał sobie na miejscowym cmentarzu bieg z przeszkodami, a raz przeskoczył nawet o tyczce grobowiec burmistrza. Kilku zdeprawowanych kolegów wyciągnął potem na „maraton" ze startem na poczcie a metą w aptece. I dopiął swego. Rodzina urządziła składkę i pokryła mu koszta podróży do stolicy, gdzie znajdował się zbudowany z żelazobetonu kryminał. I odetchnęła. Odetchnął i Ignac, który czuł, że wielkie przeznaczenia dojrzewają dopiero w wielkich środowiskach. Pewne onieśmielenie wewnętrzne, jakie opanowało go na widok stolicy, pokonał rychło, uznawszy mężnie, że jeżeli już na to poszło, to bliższym jest mu żelazobetonowy kryminał od krytej papą apteki.

Co działo się z Ignacem aż do chwili, gdy spotykamy go na forum sportowem, jako środkowego napastnika „Huraganu", nie podaje nawet Kuba Jedwabny, ów historyczny krakowianin, który umarł na sklerozę ze zgryzoty, zapomniawszy, który napastnik strzelił pierwszą po połowie bramkę na zawodach Ogoń III contra Ekwador IV. Złośliwi twierdzą, że żyje jeszcze ten policjant, który odgrywał w tym okresie pewną rolę w życiu Ignaca. Bezstronna opinja nie może jednak polegać na zeznaniach spensjonowanego policjanta. Zaufajmy raczej pietyzmowi z jakim Ignac, stanąwszy na wyżynach społecznych, odnosił się zawsze do tego okresu swego życia. „Synu mój! walczyłem" — mawiał o czasie owym, gładząc płowe kędziory swego jedynaka. I walczył niewątpliwie, skoro w „Huraganie" okazał wytrawne już i zdecydowane wyrobienie bojowe. Dzień, w którym „utrąciwszy" w spotkaniu dwu obrońców „Meteora" i palnął w następstwie w ucho sędziego Klubanca, zdradził w nim skończoną indywidualność sportową. Poraz pierwszy rozbrzmiało wtedy nazwisko jego w prasie, w plebsie i areopagu sportowym. Bystry umysł Ignaca nie omieszkał zużytkować wypadku tego w sposób należyty. Rozumiał przecież, że rozbijać gnaty graczom i bić po gębie sędziego poto, aby wylecieć z klubu, potrafi każdy cham. Wniósł protest do związku, wywołał dwa przesilenia, spowodował zwołanie nadzwyczajnego walnego zebrania i... w miesiąc później został kapitanem mistrzowskiej drużyny w stolicy.

Pięć lat działalności jego w szeregach „Prezydencji", to ów epos futbalowy, który dziś stał się niemal legendą. Czyż należy przytaczać jego najbardziej wstrząsające epizody? Jak to bramkarz „Peponji", otrzymawszy w brzuch „bombę" Ignaca zapadł od niej na dożywotnie zatwardzenie. Albo, jak na meczu z „Drabancją" sześć bramek strzelił prawą a sześć lewą głową. Zapomni kto owego momentu, gdy „kiwając" przeciwnika, trzy razy obiegł z piłką dookoła boiska, aby w końcu wjechać z piłką do własnej bramki? Od niego zaczęła się nowoczesna technika gry. Kto wynalazł centrę z ćwierćkapy, stolik z odbiciem nerek, czy mostek ze złamaniem obojczyka? Od kogo datuje się kosa z mortusem, kręcony magiel i świder znieczulający? A owe słynne taktyczne pociągnięcie, gdy utrąciwszy przeciwnika, padał na ziemię jak martwy i nawet dawał się wynieść na pięć minut z boiska. Czyż trzeba wszystko to przypominać? Nie byłoby piłki bez Pindera, tak jak Pinder nie istniałby bez piłki.

Rozwijając do nieznanych wyżyn samą technikę gry, nie zapomniał Pinder o społecznej stronie sportowego zagadnienia. Wszystkie dzisiejsze reformy w świecie piłkarskim łączą się z jego imieniem. On to zaprowadził obyczaj, że każdy przyjęty do pierwszorzędnej drużyny gracz, otrzymuje garnitur bielizny i marynarkowe ubranie. Za pierwszą bramkę kapelusz, za dziesiątą, buty a za dwudziestą palto. Za każdą zamówioną przez zarząd klubu bramkę — coś z szlachetnego metalu, zależnie od umowy. Amator musi być „gentlemanem" — oto dewiza Pindera, która dziś, gdy gracze-amatorzy otrzymują, prócz wszystkich beneficjów w naturze, także dodatek reprezentacyjny i dyplomatyczne djety, stała się jednym z dogmatów sportowego prawa.

Szczyt powodzenia na stanowisku czynnego gracza osiągnął Ignac z chwilą, gdy wniesiono, podpisaną przez wielotysięczne rzesze, petycję do sejmu, aby w uznaniu zasług nazwisko jego zmienić z Pindera na Pindar. Wniosek ten jednakże musiano wycofać na żądanie Ignaca. „Niech Pindar poda się o Pindera" — oto dumne słowa, rzucone przezeń



w oczy zdumionej delegacji. Wielkopomne te słowa przeczytać można po dziś dzień na grobowcu Pindera.

Wszystko to było jednak wstępem do tej karjery, jaką Ignac osiągnął na rynku już wszechświatowym. Na tournee klubowem w krainie cyprysów zwrócili nań uwagę dwaj lewiatani wszechświatowego sportu, panowie Schmürgi i Schmocker. To drugi Labatiara! zawołali zgodnie, widząc świdry, magle i mostki Ignaca. Jednego dnia wieczorem przybyli do Ignaca z propozycją pozostania w daktylowej ziemi. Wysłuchał ich zimno, pozwolił zapłacić za gorącą kolację i odprawił z kwitkiem. Nazajutrz o 10-tej przyjął Szmockera a o 11-tej Szmürgi'ego. Za dwa dni miał w ręku kontrakt w pejsetach z dwoma najlepszymi klubami. Gdy się rzecz wykryła, runął Szmocker i padł Szmürgi. Ale Pinder został i grał naprzemian w jednym i drugim klubie.

A potem... potem cóż? Przez dwa lata walczyły o Pindera już nie kluby, ale całe syndykaty państwowe i międzynarodowe. W przeciągu jednego dnia występował nieraz w zawodach w kilku miastach, przewożony aeroplanem, zaofiarowanym mu dla celów reklamowych przez „Lunatic Express". Podpisawszy kontrakt z jednem towarzystwem, zagrał w poniedziałek w Berlinie, w środę w Chicago a w piątek w Bombaju. Popularność jego dosięgła nieznanych w historji świata szczytów. W sztuce powstał z postaci jego nowy kierunek zwany pindryzmem, przez pewien czas świat cały tańczył Pindrymmi. Pindrella była najbardziej ulubioną piosenką na wszystkich częściach kuli ziemskiej. Któż nie zna nowego pierwiastka pindrytu i najlepszej pasty do butów pindertonu? A w końcu ta niesłychana panama, wobec której kanał panamski wyglądał jak Pindar wobec Pindera! Mamy tu na myśli utworzenie towarzystwa akcyjnego dla eksploatacji Pindera, nazwanego „Pinder Limited". Akcje tego towarzystwa były przez dwa miesiące najbardziej poszukiwanym papierem giełdowym... Przez dwa miesiące, albowiem Pinder w dwa miesiące po utworzeniu towarzystwa wycofał się z życia sportowego, wywołując krach finansowy, po którym na wszystkich giełdach zaprowadzono doroczną „minutę milczenia" i w pięciu miastach wzniesiono grobowce „nieznanej ofierze limitedu".

Kolportowaną wówczas wieść, że twórcą towarzystwa był sam Pinder, przypisać należy rozgoryczeniu sierót i wdów, pozostałych po licznych samobójcach wśród giełdziarzy. Kres położył jej sam Pinder, ogłaszając w osobnym dziele, zwanem gwiaździstą księgą, trzydzieści świadectw lekarskich, stwierdzających zgodnie, że piłka nożna wpływa ujemnie na wszystkie organa jego szlachetnego ciała i gienjalnego ducha. Z chwilą tą usunął się w zacisze domowe i oddał się działalności humanitarnej. Zakupiwszy dwa archipelagi na pacyfiku i jeden półwysep na Oceanie Lodowatym, wzniósł na nich istniejące do dziś domy spoczynku dla wycofujących się z boisk piłkarzy. Dwie olbrzymie fundacje zaofiarował na stypendja dla początkujących talentów, przyczem pierwszeństwo mieli kandydaci z prowincji. Osobny fundusz przeznaczył na cele patronatu, czuwającego nad poprawą bytu sportowców, zamkniętych w żelazobetonowych kryminałach. Następnie z odczytami, zawierającymi złote myśli o zielonej murawie, objeżdżał świat cały, przepowiadając szczęśliwą erę wieku futbalowego.

Na ostatnie lata jego życia pada niestety mrok. Nieszczęsny ten przełom datuje się od chwili, gdy w jednej ze swych podróży odwiedził miejsce swego urodzenia. Niezburzone jeszcze budynki poczty i apteki, które tak fatalnie wpłynęły na jego wiek młodzieńczy, potrząsły nazbyt silnie słabnącym już mózgiem jego. Kiedy zakupił je i załadowawszy na osobny pociąg wywiózł na Grenlandję, nikt nie przypuszczał jeszcze, że kryje się za tem coś innego, jak wzniosły pietyzm dla swoich lat młodości... Niestety!... Nędzne te klatki, które nie zdołały zadusić orlątka, stały się mogiłą dla osiwiałego kondora. Postawiwszy je w krainie lodów i zamieszkawszy w nich, nie pokazał się już Pinder ani na archipelagu ani na reszcie kuli ziemskiej. Za towarzysza przybrał sobie eskimoskiego szamana, któremu dyktował dziwne swoje zarządzenia. Nie będziemy się nad niemi rozwodzić, nie chcąc rzucać cienia na wielkie wspomnienie o zmarłym. Przypomnimy tylko, że zamierzał swoje sanatorja zamienić na domy poprawcze (!!) i punkty izolacyjne dla zarażonych obłędem (!!) piłkarskim. Zaś patronat swój chciał przekształcić na ligę dla zwalczania futbalu. Potomność przeszła do porządku nad fantazjami zidjociałego staruszka, a trybunał międzynarodowy unieważnił jego testament grenlandzki. Uratowano w ten sposób tak wiekopomne dzieło człowieka, jak i wiekopomne o nim wspomnienie.

Cześć jego pamięci!

Aforyzmy sportowe.

Tylko w sporcie 0:0 wyrażać może bardzo duży stosunek sił.

* * *

Zabronić publiczności ryczeć na meczach — znaczyłoby to samo, co zabronić sędziemu gwizdać.

* * *

Mądry gracz wie, kiedy ma przestać myśleć.

* * *

Świnia nazywa się w sporcie rekinem. Tak rekin w morzu, jak i rekin w sporcie żywią się ludzkiem mięsem.

* * *

Amator musi być gentlemanem — pomyślał Michał — i zażądał od klubu nowego palta.

* * *

Strzelać bramkę po gwizdku sędziego, znaczy chcieć zrealizować weksle z podpisem nieboszczyka.

* * *

Nie każdy sędzia gwizda tylko dlatego, że jest muzykalny.

* * *

Sędzia, który się pomylił, może się jeszcze poprawić. Tłum, który raz „ryknął" z powodu pomyłki, nie poprawi się już nigdy.

(tel)

L. Christelbauer, Lwów.

Nieporozumienia.

Ciekawy temat poruszył kpt. Baran po lekkoatletycznych mistrzostwach polskich w r. 1922 we Lwowie, gdy mimo wielkich konkretnych danych, przypuszczalnych kombinacyj, został pewnie w biegach dłuższych pobity.

— Dlaczego „spuchłem"?

Wśród zgiełku i gorączkowego nastroju, panującego podczas zawodów na boisku, trudno było o racjonalną odpowiedź na postawione pytanie, tem mniej o zmianę stanu faktycznego, nad którym już w czasie biegu bolał brat młodszy, a patrząc z usprawiedliwionem zdenerwowaniem na dramat rozgrywający się na bieżni i w jego całem jestestwie, rzucił pytanie:

— Panie, dlaczego brat „puchnie"?

Starałem się wówczas przy pożegnaniu wyjaśnić wedle mego zapatrywania powody. Lecz do spokojnej dyskusji nie byliśmy usposobieni. A tem mniej, że w ciągu tego dwudniowego mityngu, innych jeszcze wiele wrażeń zaprzątnęło me myśli.

I nie mogłem im się opędzić i też bezpośrednio zadość uczynić zobowiązaniu, bo wyłaniały się coraz inne zapytania, a już pewny niejednokrotnie wywód ustępował nowej racji. A równocześnie duża praca o ściśle określonych celach, pochłaniała każdą chwilę wolną. Łopata i taczki wszechwładnie zapanowały. Sport polski domagał się podstaw bytu, odbudowywać go wyłącznie piórem i atramentem, jak weszło w zwyczaj, okazało się w dalszym ciągu niemożliwem.

* * *

Nie wiem, czy który z zawodników wogóle, a z naszych w szczególności, zastanowił się kiedykolwiek nad pewnikiem, że najmniejszy ptaszek, jakiś powiedzmy szczygieł, czy też bliżej znany kanarek zjada w stosunku do swej wagi znacznie więcej, aniżeli człowiek że pstrąg szlachetną rybą zwany, wchłania dziennie w siebie akurat tyle plebsu wodnego, ile sam zaważy, że wreszcie skromna rodzina przeciętnych orłów lub większych jastrzębi zużywa na jedno danie pokaźnego zająca, czemu nie podoła nawet najbardziej wymagający brzuch nowoczesnego paskarza. I gdybyśmy, nie znając tych konieczności istnienia tych poszczególnych stworzeń, wzięli je w niewolę i zastosowali ilość pożywienia w stosunku do tej, którą sami zużywamy, aby utrzymać się przy życiu, przekonalibyśmy się naocznie, że stworzenia te, w krótkim terminie, zakończyłyby swój żywot.

Powód tego stanu faktycznego jest jasny i zrozumiemy go z łatwością, gdy tylko uprzytomnimy sobie prawo, któremu wszechwładnie zarówno my, jak też i wszystkie inne stworzenia podlegają, a jest niem siła przyciągania ziemi. Wszystkie nasze i wszystkich stworzeń ruchy, na których zasadza się życie, nie są czem innem, jak tylko przezwyciężaniem tego prawa.

Gdy pstrąg skacze w wyż ponad metrowy próg Dunajca, lub lekkoatleta wyrzuca swe ciało ponad poprzeczkę, to pokonują obaj to samo prawo, zwalczają działanie siły przyciągania ziemi. To samo wykonać musi jastrząb, gdy ze złowioną na ziemi kurą, równą niejednokrotnie jego ciężarowi, unosi ją i siebie w powietrze. Nazywamy czynności te pracą.

Do wykonania zaś każdej pracy potrzeba siły. Więcej potrzebujemy siły aby dźwignąć w górę ciężar 20 kg., aniżeli 5 kg. Większych potrzebujemy mięśni do wykonania cięższej pracy. Równolegle zaś z tem prawem, idzie drugie nieuniknione, tj. potrzeba intenzywniejszego odżywiania tych mięśni, które pracę tę wykonują.

Największą pracę, wymagającej największej siły, wykonuje między stworzeniami bezsprzecznie ptak, największą ilość najintenzywniejszego pożywienia zużywa ptak, największe mięśnie w stosunku do wielkości, posiada każdy ptak latający.

Mięśnie urzędnika wykonujące tylko pracę przenoszenia go po ziemi z domu do biura i naodwrót, zadowolić się muszą choćby ziemniakami, lub jałowym chlebem. A już bocian dla swych mięśni konsumuje dziennie kilogram żab i kilka nielotnych kuropatw, więc pożywienia najlepszego. Krakowianin prof. Rozwadowski pochwycił pstrąga przeciętnej wielkości, lecz o podejrzanych rozmiarach brzucha. Okazało się, że we wnętrzu, obok przyzwoitej porcji różnych much i drobnego narybku, tkwił okazały kret, który zepewne z urwanym brzegiem stoczył się do potoku, a następnie wchłonął go w siebie wicekról naszych wód górskich.

W czasie mej pracy zawodowej w Pieninach, zaproszony zostałem przez dwóch górali z pod Czorsztyna na nocny połów łososia w sieci, przy pomocy blasku ognia. Wyprawa nieszczególnie się udała, bo tylko jedna sztuka siedemdziesięcio - centymetrowa wynagrodziła kilkugodzinne trudy. Lecz okazało się, że nie mogliśmy rabusiowi temu dać we trzech rady. Taki chłop na schwał, żylasty góral, który z cielęciem na plecach wchodził na dział pod Trzema Koronami, aby prędzej zdążyć na krótsze drogi do Krościenka na jarmark, nie mógł ubezwładnić wyrzuconego na piasek łososia o wadze 12 kilogramów.

Już Leonardo da Vinci trudził przez całe życie swój niepośledni mózg, nad skonstruowaniem skrzydeł, wprawianych w ruch siłą ramion. Lecz wszelkie wysiłki tego wybitnego genjusza poszły na marne. Liczni naśladowcy w następnych wiekach też żadnym sukcesem poszczycić się nie mogli. „Unieść się w powietrze" pozostało i pozostanie kuszącym wielce, lecz nierozwiązalnym problemem. Możemy dziś ślizgać się w powietrzu przy pomocy motoru, lub ślizgać się w powietrzu przy pomocy wiatru. Latać w powietrzu o własnych siłach, choćby w sposób najgłupszej kaczki, nie będziemy niestety mogli.

Przyznaję, że należałem też do utopistów samodzielnego latania w powietrzu, w czasie gdy po raz pierwszy we Lwowie przeprowadzali udałe już popisy lotnicze Grand, Scipio, Hieronimus, na latawcach o sile motorowej. I dłuższy czas razem z kolegami suszyliśmy sobie głowy nad zbudowaniem skrzydeł. Byliśmy mocni, więc zdawało się nam, że to przecież wykonalne. Rozwiał te zamiary i pomysły dopiero po latach kilku prof. politechniki Gostkowski, który wykazał wręcz niemożliwość osiągnięcia tego celu.

„Ciężar mięśni, które tylko poruszają skrzydła ptaka, wynosi przeciętnie 15% jego całego ciężaru. Chcąc wyrobić analogiczne mięśnie u człowieka i odżywiać je przy wykonywaniu pracy samodzielnego lotu, potrzebaby było powiększyć czterokrotnie cały nasz przewód pokarmowy i zmienić dotychczasowe odżywianie, na bardziej mięsne". Twierdzenie to zostało naukowo udowodnione.

Teraz zrozumieć łatwo, dlaczego niektóre stworzenia mniejsze od człowieka, zjadać muszą stosunkowo znacznie więcej od niego.

A jaki związek dotychczasowego wywodu z postawionem na początku pytaniem? — Zupełnie ścisły.

Obserwując niejednokrotnie przygotowanie naszych zawodników na olimpjadę w 1920 r., przez szwedzkiego trenera we Lwowie, zauważyłem wśród uczestników najgorliwiej pracującego kpt. Barana. Zauważyłem jednak równocześnie objawy zbytniego wycieńczenia u tegoż. Podejrzewałem z miejsca wadliwe odżywianie, a upewniło mię w tem przypuszczeniu oświadczenie opiekuna domowego kpt. Barana, który na czas pobytu we Lwowie był jego gościem:

Panie, Baran pije dziennie cztery litry mleka!

Starałem się wówczas bezpośrednio o wyjaśnienie błędnego zapatrywania, lecz jak się dowiedziałem, sposób odżywiania zastosowal kpt. Baran, według recepty jakiegoś biegacza niemieckiego. A w takich razach najtrudniej kogoś, choćby niezbitymi dowodami, przekonać o popełnianych błędach. Skutki były widoczne. Przy przykładowo pilnej i sumiennej pracy, najpiękniejszych warunkach osobistych, najsolidniejszym trybie życia, nie osiągnął kpt. Baran należnych

sukcesów. Pokonali go współzawodnicy, którzy ani części tej pracy w ćwiczenia nie włożyli, ani też podobnie korzystnych warunków i talentu nie posiadali. Dlaczego? — Bo podstawowem, głównem ich odżywianiem nie było napewno mleko. Człowiek ciężko pracujący mięśniami nie może odżywiać się mlekiem. Robotnik niemiecki lub angielski (w czasach przedwojennych) spożywał na tak zwane drugie śniadanie, surowe posiekane tylko i nieznacznie przyprawione mięso.

Cwiczenia i zawody lekkoatletyczne są bardzo ciężką pracą. Nieodpowiednie, nieracjonalnie stosowane, lub zgoła błędne, jak w omawianym wypadku odżywianie, nietylko nie dozwoli mu osiągnięcia wybitniejszych wyników, lecz spowodować może najgorsze skutki.

Ciekawe też objawy zauważyć można u najsilniejszych zwierząt. Lew, wykonujący wśród wszystkich czworonogów najpiękniejsze skoki, żywi się wyłącznie mięsem. Czy w mięśniach jego łapy, czy ogona, tkwi siła, którą połamać potrafi wszystkich mieszkańców jakiejś wioski murzyńskiej. Przewyższający go w sile udźwigu i sile pociągowej słoń zjada figi, liście, trawę, mięsa nie tknie. Lecz musi pokarmy konsumować prawie bez przerwy cały dzień, lub całą noc. Skoku wykonać nie potrafi, a ruchy jego są przysłowiowo ciężkie i niezgrabne.

Koń wyścigowy skacze przez płot pod przymusem, puszczony swobodnie zapomni o tej wyuczonej swej właściwości, będzie skubał cały dzień trawę, lub spał. A już jakiś kot dziki, nie za zdobyczą, lecz w celu przeniesienia się na inne drzewo, wykonuje nieprawdopodobnie trudne skoki, choć mógłby łatwiej i wygodniej uskutecznić te czynności przejściem po ziemi. I znowu widzimy, że pożywienie obydwóch jest zupełnie odmienne.

Z pożywienia i powietrza wprowadzonego w nasz organizm, otrzymujemy krew, ta odżywia nasze mięśnie i kierujący nimi ustrój nerwowy może przeto potęgować ich energję, o ile w racjonalny sposób, fizjologiczny ten proces wspomagać będziemy.

Zapoznanie się dokładne z własnym organizmem, jego pracą wewnętrzną, wymogami w normalnych warunkach pracy i nadzwyczajnych, jakiemi są właśnie zawody sportowe, jest koniecznością, bez której o jakichkolwiek sukcesach na arenie światowej marzyć nie można.

Wystarczyć nie mogą szablonowe recepty drukowane w rozlicznych broszurach, a przenoszone w naszą prasę sportową, z tej prostej przyczyny, że organizmy nasze, a w szczególności narządy trawienia, są między sobą różne, nierzadko nawet bardzo znacznie. Mechanicznie pracują zasadniczo jednakowo, chemicznie i fizjologicznie rozmaicie. Jednemu osobnikowi wystarczy pewna ilość pokarmów dziennie, aby był w miarę syty, drugi przy tej samej ilości i jakości jest jeszcze głodny. Ma „przepaścisty" żołądek. Jednemu doskonale „robią" poziomki, u innego wywołują zgoła niepożądane objawy, jak nudności, lub tak zwaną pokrzywkę. Pewne organizmy domagają się większej ilości cukru nawet w bezpośredniej formie, inne „przepadają" za tłuszczem z szynki.

Gdyśmy przerywali dawniej posiedzenia Z. Z., aby udać się na posiłek, ciągnął zawsze Dr. Weyssenhoff do takiej gospody, gdzie pewny był spotkania arcydzieł cukierniczych kunsztów, naodwrót zaś szermierz Vambera zapytywał, gdzieby można zjeść porządny kawałek mięsa. Obaj uprawiają pracę sportową, już od dawnych lat. Lecz gdy pierwszy wykonuje ją na boisku spokojnie, jak na człowieka przystało, p. Vambera zdobywa się w walce na iście kocie skoki, będące podstawą jego sukcesów orężnych.

— Pierwszego dnia wspomnianych na początku zawodów zbliża się do mnie majster dyskarz p. Cybulski. Wesoły uśmiech, jasne spojrzenie, czerstwy wygląd — nie odmawia jakoś swych zwykłych „robaczliwych" pacierzy, lecz mówi:

— Ale mam dzisiaj panie prezesie szwuuuunk!

I rzeczywiście, był tego dnia „szwunk".

A już drugiego dnia popołudniu nie mogłem go poznać.

— Zzieleniał, oko bez wyrazu, głowa pochylona, ot złamany. Widzi wszystko na czarno. To jest rzut — mówi — bez pojęcia, kamieniami może rzucać. I snuje taką długą, żółciową tyradę bez końca.

— Co się stało, zapytuję.

— Poszedłem wczoraj z nimi na kolację. Przy końcu zjedliśmy jakąś galaretkę owocową. Myślałem, że do rana skonam. Ledwie przyszedłem dziś na górę. W Warszawie dają przynajmniej zawodnikowi samochód.

„Szwungu" dnia tego nie było zupełnie. Spuchł.

— Dlaczego?

Popsuty od lat kilku przewód pokarmowy. — A szkoda!

I nie dla fanaberji wielkopańskiej zabiera Carpentier swego kucharza, gdy wypadnie walczyć poza Paryżem. Mógłby przecież tańszym kosztem postarać się czy w Ameryce, czy w Anglji o najwykwintniejsze pożywienie. I nie dla sentymentu, lub egoizmu bada ustawicznie lekarz wydzieliny jego skóry, kiszek, pracę serca, stan psychiczny, a kończy swą wizytę na konsiljum z kucharzem. A Carpentier jest z urodzenia zdrowy jak ryba.

— Przytoczone okoliczności nie mają innego celu, jak tylko zwrócenie uwagi na doniosłość kwestji poruszanej. Nie moją jest rzeczą i najmniej jestem powołany do zasadniczego uświadamiania w tych sprawach. Byli dawniej lekarze fizjolodzy, szczerzy przyjaciele młodzieży, którzy wychowaniem fizycznem kierowali, nie skąpiąc równocześnie swych cennych rad i wskazówek zawodnikom. Dziś zaniedbano te nieodzowne dla rozwoju sportów konieczności.

Co! Ja do doktora — mówi taki młody adept olimpijski — jestem zdrowy jak koń! Także coś! Nurmi używa bucików z dwunastoma gwoździami, a klub mi kupił jakąś tandetę z dziesięcioma, niech lepiej o tem myślą.

A kluby? A jemu to na co wiedzieć! Niech „trenuje"! Dostał nowe buty.

Ogólnie zaś narzeka się na brak ambicji i zainteresowania sportami. Ten i ów zacznie się ćwiczyć, lecz w krótkim czasie „ma dość". Bo intensywnie pracować jego organizm nie może. Nie ma dosłownie „czem" biegać, skakać, lub rzucać — nie tylko fizycznie, lecz i psychicznie. Wychowała go wojna na mamałydze, lub ziemniakach, lub własna matka, która wszystkiego się nauczyła w panieńskim stanie, tylko broń Boże sztuki wychowania zdrowych dzieci. A szkoła nasza? Przecież nie każdy będzie doktorem, od czegoż zresztą rodzice. Zaś kluby obecnie umieściły wiele pięknych paragrafów o racjonalnem wychowaniu fizycznem w swych statutach, czynią wybitną propagandę dla rozwoju sportów i są ze swych starań naogół zadowolone. O sprowadzaniu nauczycieli do wyrabiania materjału zdatnego do wykonywania ćwiczeń sportowych nie słychać. Zadowalamy się trenerami. Poco się męczyć w szkołach średnich, lepiej odrazu na uniwersytet.

I nikomu na myśl dzisiaj nie przyjdzie zastanowić się poważnie nad sposobami prowadzącymi jedynie do celu, nad sposobami mogącymi nietylko umożliwić nam obsyłanie olimpjad, lecz i zdobywanie na nich sukcesów. I nikt się jakoś nie kwapi do zastanowienia nad środkami, które spowodowały, że istniały rekordy polskie już dawniej, a które po latach kilkunastu są twardym orzechem do zgryzienia dla dzisiejszych naszych zawodników, nie uprzytomni sobie nikt faktu, że jeszcze w pierwszych latach obecnego stulecia, wyjechał sobie taki młody lwowski student Kawecki do Pragi, że pobił tam mistrza berlińskiego w biegach dłuższych i całą inną wyborową konkurencję, że po nim wybrał się znowu do Budapesztu T. Kuchar, pokonał tamtejszych i wiedeńskich zawodników, że ustanowił węgrom i wiedeńczykom rekordy, że mistrz alpejski Gerin ugiąć się musiał przed lwowskim narciarzem Jarzyną, że wśród wysokiej lekkoatletycznej klasy Austrji, wybijają się, jako pierwsi do ekspedycji olimpijskiej w 1912 r., Garczyński



i Ponurski ze Lwowa, że sława nietylko Wiednia, lecz i kontynentu, Kwieton ulega lwowskiemu Latawcowi, że lat kilka pocą się w Wiedniu nad pobiciem rekordów austrjackich Wudkfewicza,, że jakoś „ni stąd, ni zowąd" czytamy we francuskich i angielskich dziennikach o wioślarskich zwycięstwach na paryskich wodach odniesionych przez lwowskiego Wróbla, że w sprawozdaniach sportowych lwowskich z przed lat kikunastu spotykamy cały szereg zawodników; różnych Cybulskich, Łodzińskich, Mryców, Rzadkich, Mrzygłockich, Grabowskich, których wyniki lekkoatletyczne, przy uwzględnieniu pietnastoletnich „forów", są obecnie nieosiągalne.

A jakie powody tych doniosłych sukcesów?

Dzisiejsze stosunki w jakich ulepia się nowe nasze życie „sportowe", nie dodają otuchy do wypowiedzenia się w tej dziedzinie. Wychowuje się młodzież, ktorej najponętniejszą koroną duchową stają się artykuły choćby o prawdziwym p. Bürgi.

Wspomniałem na początku, że wiele innych spostrzeżeń zaabsorbowało mą uwagę na przedostatnich zawodach o lekkoatl. mistrzostwa Polski. Jednem z takich, to intenzywne przypominanie w czasie biegu swym towarzyszom klubowym, przez wielokrotnego mistrza naszego W. Kuchara :

Głowa w dół! Głowa w dół!

Utkwiło to nawoływanie w mej pamięci. Przetrawiłem później wszystkie możliwe ewentualności, które mogły zasadę tę wywołać, lecz racjonalnego wyjaśnienia nie znalazłem, bo znaleźć nie mogłem, temwięcej, że uwaga ta kierowana była pod adresem każdego zawodnika, na którego zwycięstwie sympatycznemu mistrzowi zależało.

Bo właściwie, o ile o sposób utrzymania głowy w czasie biegu się rozchodzi, to może być tylko jedna zasada, która wywiera w tym wypadku decydującą rolę, a mianowicie nader ważna kwestja oddechania w czasie biegu. I nie można powiedzieć zawodnikowi: głowa w dół, prosto lub wstecz, lecz głowa przedewszystkiem w takiej pozycji, aby uzyskać najlepszy i najekonomiczniejszy sposób oddechania. Przez szyję prowadzi droga oddechowa do płuc. Zauważymy łatwo różnicę przy intenzywnym, szybszym oddechu, gdy głowę opuścimy silnie w dół, a gdy ją trzymamy prosto. Różnica ta występuje jeszcze dobitniej u ludzi o szyjach długich, cienkich, a u ludzi o krótkich, grubych karkach. Wyrobienie najlepszego sposobu trzymania głowy, będącego w ścisłym stosunku z podstawą i nader ważną kwestją umiejętności oddechania w czasie biegu, jest sprawą wyłącznie indywidualną, której wydoskonalenie rozpocząć się musi równocześnie z początkami nauki biegu, a nie może być traktowane ogólnie, gdy się już o zawody rozchodzi.

W jaki sposób objaw ten dostał się na nasze bieżnie, nie wiem. Przypuszczam, że może analogicznie, jak owe mleko do kpt. Barana, lub mógł to posłyszeć p. Wacław z ust nawet wybitnego trenera gdzieś w świecie, gdy nawoływał w ten sposób na swego pupila. Leez może właśnie rozchodziło się o zawodnika, u którego trzymanie głowy w dół było najodpowiedniejszem.

A gdybyśmy się tak dalej nad tą kwestją zastanowili, doszlibyśmy wreszcie do najprawdopodobniejszej przyczyny, któraby swój wpływ na poruszoną sprawę wywrzeć mogła.

Zdarza się czasem, lecz coraz rzadziej, że nawet w „kinie" można zobaczyć coś naprawdę pięknego lub pożytecznego. Zachęcił mię raz na wycieczce po południowych Niemczech afisz o tytule: „Heute Sportprogramm". Nie żałowałem godziny na ten cel poświęconej. Wśród licznych naprawdę pięknych i interesujących obrazków z życia, względnie zawodów sportowych, zobaczyłem też ówczesną sławę światową, południowego afrykańczyka Walkera w biegu na setkę. Zapoznałem się też, przy powtórzonym zupełnie wolno poraz drugi filmie, ze sposobem jego techniki biegu, który swego czasu wywołał sensację. Otóż bieg ten składał się z pojedynczych długich skoków, względnie że się tak wyrażę wyskoków, do których zniewalał się przechylaniem całego korpusu w przód, do pozycji grożącej każdorazowo prawie że upadkiem. Wypadkowa, z chroniącego go przed tymże upadkiem silnego odbicia się od bieżni skośnie naprzód, a siłą przyciągania ziemi, dawała w rezultacie siłę, przenoszącą całe ciało każdorazowo na odległość prawieże dwóch susów normalnie biegnącego obok niego zawodnika, który widocznie i stale pozostawał w tyle. Wykonywał więc Walker cały szereg skoków w dal, przy odbiciu naprzemiannożnem, a cechą zewnętrzną jego biegu było stałe prawie i wybitne, dla oka nienaturalne, pochylenie niezgiętego całego korpusu w dół, a nie tylko, jak w zauważonym wypadku samej głowy. Przypuszczam jednak możliwość pewnego, acz bardzo nieracjonalnego związku, z zaobserwowanym u nas sposobem pochylenia samej głowy w dół.

Ten sam przykład służyć może jako dowód również nieracjonalnego stosowania jakiegoś sposobu, powiedzmy biegu, czy też skutku, którym jeden zawodnik osiąga znakomite rezultaty — przez innych konkurentów, pragnących dojść do analogicznych wyników. Sposób biegu Walkera, acz wybitnie skuteczny, nie rozpowszechniał się, ani przez nikogo udoskonalonym nie został, gdyż był wynikiem indywidualnych właściwości budowy organizmu, układu mięśni, ustosunkowaniem górnej i dolnej części tułowia, możności zupełnego panowania nad ciałem w pozycjach, będących dla innych już granicą równowagi i t. p. To też błędne byłoby postanowienie osobnika o zdeklarowanym typie budowy, gdyby bezwzględnie chciał sobie przyswoić jakiś intratny sposób skoku w zwyż, a nie odpowiedni swym warunkom fizycznym. Już mniejsza, lub większa możność rozwoju mięśni brzusznych decyduje w takich razach.

Rzecz naturalna, że nie naukę ćwiczeń lekkoatletycznych w tym wypadku mam na względzie, bo inna jest sprawa, jakiemi ćwiczeniami ciało nasze udoskonalamy fizycznie, lecz li tylko wydoskonalenie się zawodnicze, w obecnem a systematycznem naszem ćwiczeniu. A już po dłuższym czasie nauki naprzykład wszystkich sposobów pływania, zauważymy, którym sposobem płynie się najlepiej i temu się poświęcamy, bez względu na innych współtowarzyszy, ich postępy i sposoby, a wszelkie ulepszenia wystąpią już wtedy bezwiednie. u każdego osobnika indywidualnie,

Wszystkie sławy pływackie używają w zawodach prawie zawsze crawla. A wśród nich, dwóch się dopatrzeć nie można, aby ruchy ich w wodzie były jednakowe. To samo obserwować możemy i przy innych ćwiczeniach, o ile ćwiczenia te odbywają się w tempie, którego pojedyncze fazy oko nasze jest w stanie rozróżnić, względnie uchwycić, jak n. p. przy skoku o tyczce, lub niektórych rzutach.

Gdyby było możliwem urządzanie biegu na setkę z udziałem Walkera, Graiga i Paddocka w ich najlepszej formie, byłoby to chyba największą sensacją sportową świata, większą aniżeli spotkanie Dempsey—Carpentier, a równocześnie pokaz trzech odrębnych, technicznie i taktycznie, sposobów biegu.

— I w ścisłym też związku z przyswojeniem i wydoskonaleniem sposobu wykonania jakiegoś ćwiczenia jest kwestja utrzymywania ciągłej sprawności fizycznej i jej rozwoju, przez tak zwany trening, który pod pieczą już nie nauczyciela, lecz trenera odbywać się powinien. Lecz najczęściej odbywają się te ćwiczenia bez dozoru i bez żadnego uświadamiania, za które nie można uważać pobieżnego przeczytania ogłaszanych w tym celu przepisów, lub wysłuchania bez należytego przygotowania choćby najlepszych wykładów. Bo gdy już o ostateczne wydoskonalenie się rozchodzi, musimy uwzględniać indywidualnie każdego z zawodników osobno, jeżeli chcemy wydobyć z różnych zawsze, nawet o skończonej doskonałości fizycznej organizmów, największą sprawność w tej samej dyscyplinie. Największy talent możemy zmarnować takim treningem, którym w innym wypadku odnieślibyśmy najlepsze wyniki. Jest to mozolna i trudna praca, lecz bez niej daleko zajść nie można, a już nigdy na Olimpjadę.

Nie poruszam dalszych spostrzeżeń poczynionych na wspomnianych zawodach, nie jestem bowiem pewny, czy już opisane odpowiadają dzisiejszemu „duchowi“, czy pomóc mogą pismu sportowemu w werbowaniu jaknajwiększej liczby czytelników, koniecznych do jego istnienia.

St. Fächer.

Przez wysokie przełęcze.

— W górach straszy — mówił grobowym głosem jeden z braci Jednakich — opowiadają, że jak wiatr powieje, to płacz i narzekanie słychać i nieboszczycy, których tu pełno po okolicy, koniec swój znalazło, przychodzą do schronisk pukać do żyjących na skargę.

— Oczywiście, oczywiście — mruczał Jednaki II., przelewając z pustego w próżne herbatę, którą z wrażenia ronił na stół schroniskowy. Poginęło ich przecie nie mało. I za zbójeckich czasów od kuli i siekiery i za raubszicoskich od niedźwiedzia, a ilu i z turni odpadło, a w lawinie śmierć znalazło i pod lecącym kamieniem... Posypały się nazwiska i opowieści... ten tu — ten tam... Cisza zrobiła się godna, na ognisku skwierczał tylko kotlet pracowitego Okrągłego i cicho spadały do stojących na kuchence naczyń, porozwieszane nad ogniskiem części zamkniętego ubrania wędrowców. Niemrawo! W taką chwilę, gdy wspomni kto tylko „strachy“, wyobraźnia łatwą jest do uwierzenia. Nadomiar nagle huk okropny wstrząsnął budynkiem i w sąsiedniej izbie rozległo się szatańskie dudnienie.

Brat Jednaki II. rozlał resztę herbaty po stole, porwał z przestrachu kotlet z ogniska i zniszczył go w mig, kilkoma kłapnięciami paszczy, chcąc być gotowym na wszystko. Z widelcem wzniesionym do góry, stał brat drugi i kołczał coraz widoczniej stawiając oczy na pozór ślimaka w słup.

— Narty przewróciły się w tamtym pokoju, coście je źle postawili — zaskrzyczał Okrągły, pozierając z niejaką wściekłością na wzruszające losy swego kotleta. Aaa — odetchnęliśmy z ulgą — żaden jednak z wilków górskich nie poszedł zobaczyć i ułożyć rozrzuconego sprzętu. Ktoś wyciągnął świecę, miało się bowiem pod wieczór, i wykwintnie przytwierdzał ją do stołu za pomocą nakrapiania stopioną stearyną. Było „nijako“, bo smętek takiej przedwieczornej godziny, nie da się łatwo zamienić w radość oczywistą a tak narciarzowi potrzebną jak dobry śnieg. W duszach panowała zupełna odwilż. Dopiero całkiem „realny“ świst pod nartami na dworze, zgrzyt kijków narciarskich i za chwilę znajome łomotanie do drzwi — przepędziło ponure usposobienie. Wypadliśmy do drugiej izby witać przybyszów. Zginając w drzwiach swój wyniosły wzrost, a bijąc jednak głową o futrynę, wkroczył nasz przyjaciel Długonogi, przybrany w tureckie spodnie z malowniczemi baniami u stóp, za nim jego połowica, po tem zrzędząc po swojemu już od progu człowiek, którego nazwijmy „Kondorem Tatrzańskim“ (choć poufnie mieniliśmy go niekiedy „Pluskwą Schroniskową“). Za nimi dopiero wkroczył z niejaką uroczystością, mąż czwarty — narciarz dziwaczny — jakby żywcem z marzenia o jeźdźcu starego autoramentu wyjęty — nieznany. Cyprjan Ożóg jestem — oświadczył — siadł na ławie i zapadł w milczenie.

Za chwilę schronisko rozbrzmiało życiem i weselem. Człowiek zwany „pluskwą schroniskową“ zaczął swą zwykłą pracę. Wpadł przeto natychmiast w długo trwający napad szału na widok tego nieładu, który zdążyliśmy już doprowadzić do stanu kwitnącego i spostrzegłszy, jak oczywiście niewygodnie urządziliśmy się. — Bałagan jest! — wrzasnął i wyciągnąwszy z kąta przez nikogo innego nie używane miotlisko, wzbił ogromny tuman śmieci, który wnet przepędził za drzwi, sam za niemi znikając, gdyż i śmiecie należało wedle niego gdzieś ułożyć. Wnet ze zdumieniem spozieraliśmy, jak z ogromnego wnętrza plecaka wyjmuje Kondor Tatrzański cały zbiór i ustawia troskliwie na półce. Zdumienie ustąpiło miejsca przerażeniu, gdy z wora wychylił łeb ogromny gąsior szklany, dobre dwa litry trzymający, a pełen kawy „wyjątkowej własnej fabrykacji“.

W schronisku tymczasem wrzało; narciarskie kawały i pojadanie bliźniego żywcem, mieszały się z uroczystym pluskiem przelewanej herbaty, skwierczeniem mięsiw i trzaskaniem ogniska. Zrobił się upał. — Mykwa jest! — oświadczył Kondor Tatrzański i biegł otwierać drzwi. — Zamykać drzwi — zgrzytał ktoś z pod ściany. Szumiało jak w ulu, a dym z ogniska stał słupem w izbie.

Jedynie człek starego autoramentu siedział cicho na brzegu ławy i z pewnem przerażeniem przyglądał się wszystkiemu. Nie wiadomo, skąd się wziął i w jaki sposób znalazł się w naszem dziwacznem towarzystwie. Na moje nieme zapytania, przyjaciel mój zaczął kręcić na swem czole telemary. A jednak nie był ten człowiek dziwakiem. Spóźnił się tylko jegomość pan Ożóg o lat kilkanaście i przed tym czasem nie był napewno żadnem dziwem. Stary narciarz... z dawnych, może lepszych czasów... Widzę go jeszcze teraz, jak kroczy po świeżo spadłym śniegu, gdyż uznaje „pochody“ tylko wtedy, gdy nurza się na kształt okrętu. Odzienie zgoła na nim osobliwe. Buciska ladajakie „miastowe“, wysmarowane łojem na palec, spodnie długie, u dołu sznurem „przeciwko“ śniegowi przewiązane. Już na początku jazdy szacowną tę część ubrania na kolanie ma podartą, a przez strzępy materjału przegląda zakrwawione „żywe mięso“. Chodzi zaś w długiej kurcie z futrzanym kołnierzem, a głowę przykrywa kosmatą czapą, kształtu bardzo pękatego. Czapy takiej chwyta się soplami śnieg i zawisa dzwoniącymi frendzlami wokół głowy. Gdy zaś i ta ozdobiona jest zawsze patrjarchalną brodą, tworzącą tak pyszne podłoże dla szronu, w krótkim czasie wygląda jak król zimy, zwłaszcza że śnieg osobliwie go kocha i pokrywa całego po jednym upadku.

Mąż taki, jako że zwykle jest człekiem urody potężnej i obdarzony „apetytem“ ojców, prowiant zabiera z sobą w zacnej ilości, zawija go w płótniankę i zawiesza na guziku ubra-



nia. Jeśli nie zgubi go przed czasem, to w chwili przeznaczenia „pojada“ pajdę chleba i coś z mięsa, a dla rozgrzewki nosi buteleczkę, która smętnie wygląda na świat z bocznej kieszeni.

Idzie a skrzypią mu żałośnie wiązania u nart — że chyba Noe miał lepsze. Opiera się zaś na kiju, który śmiało mógłby być dyszlem u armaty. Kij ten, bambusowego rodu, którego dłońmi dwoma nie obejmiesz, posiada u spodu okucie w wadze kilogramów dwóch i grot, którym można łamać mury.

Narciarz taki chodzi wytrzymale i długo, zwyczajnie poprzecznym krokiem, a gdy zjeżdża, kładzie się na kiju i rypie okropnego „szusa“, rozstawiwszy dla pewności nogi co najszerzej. Bardzo często jednak zdejmuje narty na szczycie i płynie mozolnie wśród śniegów.

Okaz ten coraz rzadszy, pokazuje się jeszcze w dzikszych okolicach. W ostatniej dobie i on uległ już prądowi czasu, nosi więc baniastą manierkę przywieszoną na górnym końcu swego drąga. Manierka kołysze mu się w takt kroków, a starzec wygląda jak pątnik idący ku Ziemi Swiętej.

A jednak, mimo całej dzisiejszej śmieszności, ma typ ten wiele uroku i sentymentu. Chadzali ci staruszkowie przecież w góry po swojemu, ale szli w góry dla nich samych i kochali je szczerzej i prawdziwiej niż dzisiejsi, w każdym razie inaczej.

Tymczasem jednak dziwaczny gość podjadł sobie coniebądź, „palnął“ z manierki i pożegnał się uroczyście. Spojrzeliśmy zdumieni — była noc. Za chwilę zakłapał w drugiej izbie nartami, widocznie wychodził mimo nocy i ciemności. — Dokąd to? — poleciało w ślad za nim. — Do domu — odpowiedział. — A daleko? — Do Nowego Targu — pada niewzruszona odpowiedź i cichnie w odali szmer nart i podzwanianie drąga po lodzie.

— Dziwak — mruknął jeden z nas. Sądzę, że okaz ten winien być chroniony, na równi z kozicami, świstakami i innymi przedstawicielami ginącej fauny górskiej — sądził drugi. — Zginąć jak duch — zaczął znowu brat Jednaki...

Przygotowaliśmy się do snu. Jeszcze padały kawały z tego i owego legowiska, coraz jednak leniwiej opowiadane i coraz więcej nasenne. W środku jednego z nich zasnęliśmy. Przez sen tylko rzucał się Jednaki II., którego sumienie nękał zrabowany kotlet. Ciszę nocy przerywał jeszcze od czasu do czasu przeraźliwy gwizd Kondora Tatrzańskiego. Był to zdaniem jego najlepszy sposób na ukrócenie chrapania sąsiada obok niego leżącego. Przez pewien czas prócz tego Kondor Tatrzański poszeptywał „Mykwa, Mykwa“ i dmuchał z upału, w końcu i on zmrużył oko zezowate i zapadł w sen sędziów.

* * *

Wiele uroku ma chwila, gdy przez szpary okiennic w schronisku zaczyna przeglądać szary brzask, zwiastujący dzień. Gdy zaś sycić się poczynają linje światła różowością wschodu i zapowiedzią pogody, nieruchome kłody uśpionych ciał ludzkich zaczynają się poruszać. Na nogach pierwszy jest Kondor Tatrzański. Naprzód toaleta i przegląd pogody, potem obrządki kuchenne z rozpaleniem ogniska i coraz głośniejszem pobrzękiwaniem w naczynia, wreszcie podnosi on warchoł piekielny. Ma to być pobudką dla reszty braci śpiących i hasłem do rozpoczęcia pracowitego dnia. Przez dłuższy czas, w przekonaniu, że ktoś i tak musi być ostatni, nikt się nie rusza. Ale wtedy Kondor Tatrzański otwiera okiennice i drzwi, działając chytrze światłem i powietrzem.

Na horyzoncie ukazują się zaspane oblicza z wiórami w fantastycznych czuprynach i nogi na rozmaite sposoby odziewane w skórznie narciarskie i okręcane w kamasze.

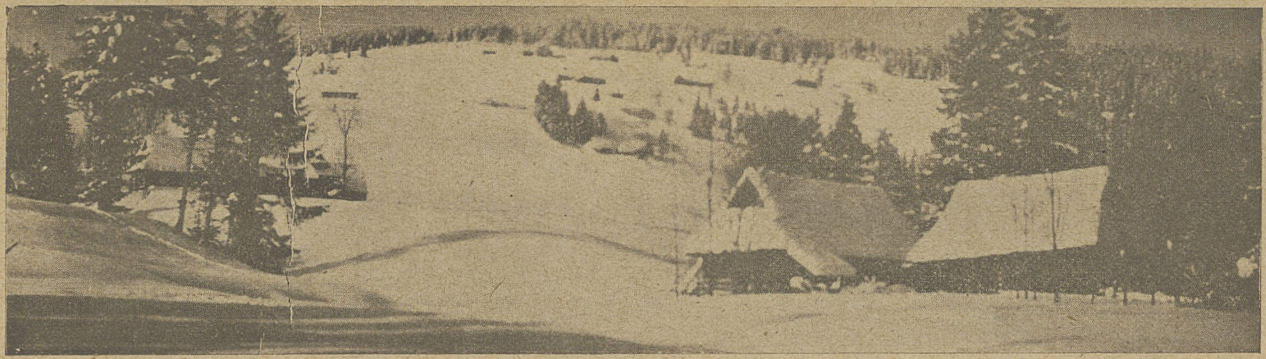
Wspaniałe cuda przepysznego ranka, gdy słońce ostrzyło sobie dopiero na nas zęby, na porożowiałych i wyzłoconych turniach, strawiliśmy oczywiście w schronisku na śniadaniu i przekonywaniu Tatrzańskiego Kondora, by nam towarzyszył.

Niestety na dzień dzisiejszy mąż ten silne miał postanowienia. Umyślił, że zaraz z rana wyjdzie na szczyt pobliskiej Kopy Magóry, tam odepnie narty i obróci je spodami ku słońcu „po starannem otarciu ze śniegu“. Potem wyjdzie po szczeblach, które jeszcze zachowały się, na szczyt słupa wierzchołek Kopy zdobiącego. Usadowimy się na szczycie słupa, wspaniały ten człowiek nałoży od blasku słońca czarne okulary i pilnie pozierać będzie ku drodze na Boczań, czy też przypadkiem „trup“ jaki nie pindra ku Hali. W takim wypadku Kondor Tatrzański zbiegnie do swych desek, szybko je przypasze zapomocą jedynych „patentów" Bilgerego i zatoczywszy kilka majestatycznych jakobsenów pod szczytem, rzuci się kondornym sposobem na struchlałą ofiarę.

Ponieważ jest to także sposób przepędzenia dnia w górach, przeciwko czemu nie wiele można powiedzieć, pożegnaliśmy człeka twardych zasad, polecając jego opiece schronisko.

Niedługim wężem rozpoczęliśmy nasz bieg ku Zachodowi. U czoła kolumny posuwał się Okrągły, tworząc niezwykłe zjawisko. W przystępie szału modernizacji uciął on swoje kijki do wysokości swych kolan, natomiast zaopatrzył je już nie w talerze, ale chyba w półmiski. Ogromne obręcze, powiązane ażurowo skórą, podnosiły się raz wraz nad śniegiem. Zato Okrągły iść musiał dobrze schylony, bo kijki jakkolwiek pocieszne i modne, przecież na nic nie przydatne. Za Okrągłym ja, za mną posuwali się melancholijnie obaj bracia Jednacy, po nich małżeństwo...

W Kotle Suchej Wody znaleźliśmy się rychło, nie wiele zastanawiając się, dlaczego tędy właśnie powiódł nasz szlak. Może to trochę przeczucie, a może tylko widok przepysznie oświetlonego zbocza pociągnął nas mimowiednie ku przełęczy, dość, że natychmiast, wyzyskując utartym sposobem łaskawe ramię Beskidu, osiągnęliśmy bez zakosów stok z pod przełęczy opadający i klasycznie wycelowaliśmy w siodło. Biegliśmy żywo. Za nawisem koronującym przełęcz, ukazały się białe czubki majestatów górskich, rosnących coraz wyżej, w miarę zbliżania się ku grani. Wreszcie powiew świeżego wiatru, najmilszego zawsze zwiastuna kresu, oznajmił nam krótki spoczynek. Naprawdę, to należało się zastanowić, gdzie powiodą dalej nasze drogi. Wyszliśmy bowiem bez wyraźniejszego celu, choć ciężkie plecaki i tak



zwany „ząb" na wyrypę, który poczuliśmy przy pierwszych krokach za schroniskiem, zapowiadał coś znaczniejszego. Szeroką, jarzącą się w słońcu grań przełęczy, obsadziliśmy maluchną naszą gromadką żywo naradzającą się. Daleko pobiegły nasze oczy. Drgające plamki, migocące na dalekich i tak od nas głębokich pustkach górnego piętra Cichej Doliny, zaczęły nas mamić i ciągnąć nieprzeparcie. Nie czekając na wynik sejmiku, zatoczył jeden z nas łuk na stromem zboczu z przełęczy do Cichej doliny opadającem. Potem nastąpił drugi i trzeci, dwa przeskoki i oto narciarz sunął w mroczne gardło między grzędą Beskidu i Kasprowego zawarte. Z grani oderwała się druga, potem trzecia figurka — rzekłbyś ptaki porządków klucza przestrzegające i za chwilę zadrgało zbocze migotliwym ruchem toczonych kręgów.

Stromy — bardzo nawet stromy jest zjazd do Cichej doliny. W poszumie zesuwanych „desek śnieżnych", podcinanych dla oczyszczenia terenu lawinek, cięliśmy zbocze misternymi łukami, pracując bynajmniej nie na żarty. W gardle było chwilę nie dobrze — wąsko i jeszcze większe nachylenie — a nadomiar „zbudziliśmy" znaczną „dechę" śnieżną, która zaczęła róść nie na żarty, wymuszając zgoła wielkie poszanowanie. Korzystając jednak z otwartego już wylotu gardła, przemknęliśmy jeden po drugim ponad zdradliwie popodcinane uskoki skalne, na grzędę, gdzie dalej pracowicie wiedliśmy nasze dzieło. Gdy wzniosłem oczy ku górze, na przebyty stok, spostrzegłem kilku swych towarzyszów, jakoby na wieży wysokiej tuż nademną. Zbocze robiło się naprawdę wyjątkowo strome, jakby urągając śmiałkom. Ale i przysłowiowy „ząb" nasz był przecież coś wart. Coraz wyżej rosła nad nami ściana ogromnej studni, na której dno zjeżdżaliśmy, coraz bliższy był nam dolinny las, z przełęczy jako poszycie mchu wyglądający. Za chwilę zbocze przestało się na nas gniewać, łagodnie kładąc się coraz łaskawiej pod stopy; ominęliśmy kilka drzew i na wysokim brzegu potoku zaczęła zbierać się nasza gromadka...

Las był przed nami, mroczny i zaśnięty w zimowej ciszy. W ślad jeden za drugim, sunęliśmy cicho, przebiegając rozświecone słońcem polany, nachodząc raz wraz nad brzeg strumienia i prostując naszą drogę wśród drzew. Snieg strzelał głucho co chwila, gdyż nie dotknięty dotychczas osiadał, drgając pod ciężarem przechodzących.

Dobrze już było z południa, gdy wychynąwszy się z lasu ujrzeliśmy wysoko ponad nami zalane oślepiającym blaskiem Zawory i okoliczne wierchy. Zaczęto lepić... najzłośliwszy wróg narciarza wyszczerzył na nas swe zęby i drwił najwidoczniej. W niemałym trudzie wznosiliśmy się jak najstromiej po łagodnem zboczu, nie bacząc już na chytre zakosy i jeden ślad. W kotle opadającym ze zboczy Kopy Koprowej spostrzegliśmy kierdal kur, sunących ku górze na trawiaste granie. Lotność poruszeń tych czarnych punkcików i nasza powolność w lepiącym śniegu nagrała na humor nie najlepszy i gdy dość szybko mimo wszystko stanęliśmy na szerokiem siodle Zaworów, złości naszej nie rozprószył ani miły wiatr twarze muskający ani czarowny widok Ciemnosmreczyńskich głebin.

Podobnie jak na Suchej przełęczy — tak i teraz jeden z nas posunął się dla „oczyszczenia" nart wartkim lotem ku Kobylemu Stawkowi — pociągając innych za sobą. Daleko w głąb doliny zawiodło nas to „czyszczenie". Podczas biegu jedynie, przelatując jeden obok drugiego, zdołaliśmy bez porozumienia — jak jedną myślą wiedzeni, wyprostować kierunek na trawers zbocza, by oszczędzić sobie zbytniego obniżenia się w głąb doliny. Zbocze jednak, które teraz przecinaliśmy, okazało się zdradliwe i niebezpieczne. Raz wraz z szumem uciekały deski śnieżne, grożąc pociągnięciem na groźnie popodcinane skałki. Chcąc nie chcąc, zmuszeni byliśmy zniżyć się kosówką i wybrawszy pierwszy lepszy i jak zawsze zwodniczy pas wolnego śniegu między porostami kosodrzewiny, dostaliśmy się wkrótce w pułapkę, gdzie złośliwe chochliki dobrze nam dały się we znaki. Uparcie broniła dolina wstępu do siebie przy pomocy zwartego frontu kosodrzewia zamykającego ustawicznie drogę, chwytającego na kijki i stawiającego najrozmaitsze przeszkody. Przecież jednak, zimą nie trudno jest przedostać się przez upartego nieprzyjaciela i wnet przesmykami śnieżnymi osiągnęliśmy brzegi zaśnionych Ciemnosmreczyńskich Stawów.

Ogromny blok granitowy, nad brzegiem górnego Stawu leżący, posłużył nam jako miejsce obozu. Na wielkiej, płaskiej jego powierzchni, nie było śniegu, który wiatr postrącał, a kamień wystawiony na słońce był ciepły. Wnet kręgiem zabłyszczały rozstawione maszynki, rozwiązaliśmy worki i prostowali kości. Słońce prażyło niemiłosiernie. Zdawało się, że okoliczne kotły górskie, wyścielone dokładnie śniegiem, są zbierającemi lustrami, a my znaleźliśmy się w ognisku promieni. Po uciążliwym biegu spoczywaliśmy przemiło, szczęśliwi, że jesteśmy daleko w samem sercu Tatr, zapomniawszy świata, który zostawiliśmy za sobą. Co chwila tylko podnosiły się głowy, ku widniejącej wysoko nad nami szczerbie Wrót Chałubińskiego i oczy badały uparcie przyszłą drogę.

Zbocze, które wnet poczęliśmy ciąć wąskim odrazu zygzakiem, obeszło się z nami dobrotliwie. Łagodnie nad stawem nachylone, pozwoliło bez trudu szybko pokonać się w połowie, tu jednak okazało swe groźne oblicze. Wyciągnąwszy rękę w bok, dotykaliśmy tuż przed sobą śniegu coraz stromiej leżącego. Z charakterystycznym szelestem sunęły kulki śnieżne strącane nartami w dół, z ogromną szybkością na znak, że stromość coraz się zwiększa. Zaczęliśmy iść „sposobami". Oto jeden zaczepiwszy dziób narty wycinankami talerza swego kijka, ciągnąc mocno ku sobie i naginając nartę, dopomagał nogom w trudnem zadaniu zakosu. Drugi zapożyczał sposobu od raka, posuwając się do miejsca, gdzie trzeba obrócić, tu jednak chytrze poczynał iść tyłem. Ten znów poprzecznym krokiem ostro zacinając szedł, ten próbował zwrotu na dolnej nodze — słowem każdy pomagał sobie w niełatwej sytuacji. Ostatnie dziesiątki metrów pod szczerbą przełęczy, gdy czuliśmy na twarzach mroźny i wilgotny powiew, zabrały nam znaczną ilość czasu i trudu. Poczuliśmy, że są chwile w życiu narciarza — gdy nie pozostaje mu nic innego jak zacisnąć zęby i „drzeć".

Ciężko dysząc, uznojeni, wychodziliśmy jeden po drugim



na przełęcz, zbierając się po ciężkim trudzie w gromadkę. Teraz dopiero mogliśmy zauważyć, że świat naokoło poróżowiał, a szczyty gorzały purpurowym blaskiem na tle coraz bardziej granatowego nieba. Pod nami leżała mroczna przepaścista gardziel żlebu, zionąca zimnem i lodem. Zrazu ostrożnie, jakby próbując śniegu i nachylenia, później coraz żwawiej i pewniej jeden po drugim posuwaliśmy się po zlodowaciałym wąskim i bardzo trudnym zjeździe. Od połowy stoku puściliśmy się na wprost. Namarzły po wierzchu śnieg niósł potężnie, wiatr wył w uszach, a w oczach stały łzy od ogromnego pędu. W niecałej minucie byliśmy już poza stawkiem Staszica i krążyli pod skalistemi zboczami Miedzianego. Szybciej! Szybciej! padało ustawiczne hasło i znaną szeroką i stromą grzędą opuszczaliśmy się coraz pośpieszniej ku Morskiemu Oku.

Radość szybkiego zjazdu, zimno, mróz, gwiazdy coraz liczniej wychodzące na niebo, groźna i majestatyczna zima pustkowia górskiego i tempo, które rozwinęliśmy pod koniec wyprawy, złożyły się na finał niezapomniany. To też, gdy po długiej jeszcze chwili biegu, dobiwszy się wreszcie schroniska zasiedliśmy do spoczynku, czar usiadł z nami i urzekł zupełnie. Precz uciekło niesforne życie schroniskowe i przed oczyma rysowały się turnie i granie i cała przepyszna droga, którą przebyliśmy. Bez zwykłego naszego gwaru i wesela, przepracowawszy uczciwie dzień, zapadał jeden z nas po drugim w krzepiący sen.

Wschodzące słońce widziało nas następnego dnia na stokach Opalonego, wznoszących się ku Miedzianemu. Rychło znaleźliśmy się w charakterystycznym jego kociołku i stokami osiągnęliśmy grań w wąskiej przełączce pomiędzy dwoma turniami. Przed nami leżał teraz zjazd bynajmniej nie zapraszający, choć prosto na schronisko wiodący. Niezwykle stromy wąski żleb mrugał na nas złośliwie, jakby chciał dowieść, że niepotrzebnie ominęliśmy łagodniejsze zbocze Swistówki. Nauczeni jednak doświadczeniem, że ten, który zjeżdża pierwszy, ma na bardzo stromem zboczu najlepszy śnieg, a reszcie pozostanie po jego „zamiataniu" niezbyt miła powierzchnia lodu, rzuciliśmy się wszyscy „na pierwszego", wskutek czego mimo bardzo wielkiej trudności zjazdu, zwartą gromadą znaleźliśmy się nadspodziewanie szybko nad brzegiem stawu. Podniósłszy dopiero teraz głowy do góry, zrozumieliśmy, jakiego potężnego nieprzyjaciela wzywaliśmy do walki jadąc gromadnie.

Wiele godzin spędziliśmy następnie w Dolinie Pięciu Stawów Polskich, sycąc się jej urokiem i posuwając się zwolna ku Zawratowi, który piętrzył się jeszcze przed nami na naszej drodze przez przełęcze. W pogodnym nastroju pokonywaliśmy piętro za piętrem przed ostateczną rozprawą z groźną tą zaporą. Pod zachód słońca już, osiągnęliśmy szczerbę przełęczy i natychmiast pojechaliśmy imponującym zimą ogromnym żlebem. Za chwilę mijaliśmy statuę Matki Boskiej i próg zawratowy, dostając się w szersze i łatwiejsze nieco partje zjazdu. Ramiona żlebu rozbiegały się teraz na boki, otwierając piękne pole dla jazdy miłej i łagodnej, jakby na zakończenie wyprawy nam danej. Jeszcze tylko zmarzły staw mijaliśmy progiem nad Czarnym i oto narty wyniosły nas po zamarzłym już śniegu, na powierzchnię jeziora.

Mrok padał już na Halę Gąsienicową i zachód płonął na szczytach, które zostawiliśmy za sobą, gdy przesuwaliśmy się zmęczeni, wyszukując drogi wśród kosodrzewia Dubrawisk i patrząc w zjawę zachodu gorejącą przed nami nad początkiem naszego wczorajszego szlaku. Zakreśliwszy poprzez Tatry ogromne koło znaczące drogę naszej wędrówki, stanęliśmy wnet w tem samem miejscu, skąd wczorajszego dnia rankiem wybiegliśmy. Jakże jednak daleko byliśmy teraz od nie tak dawno jeszcze spędzonych chwil, wesołych wczasów w schronisku. Nieśliśmy w sobie teraz piękno i żywe dotknięcia majestatu gór.

Wiele, wiele dni spędził każdy z nas w górach zimą. I w rozsłonecznione ranki, gdy na świeżo opadłym puchu śnieżnym palą się blaski drogocennych kamieni — i w zawieruchę lodową, mgłę i późne wieczory, w obliczu lawiny i potężnych groźnych wrogów, wąski ślad desek narciarskich przebiega pustaci górskie, wieczystym zamkiem lodowym zakute. Drobne figurki ludzkie przeszukują ciągle zbocza gór, granie, szczyty i przełęcze, zachodzą w lasy, w godowe przystrojone szaty...

Śmieją się ci „ludzie z dolin", że szczęścia szuka się w pustkowiach górskich i goni zwodnicze miraże, tracąc nieraz życie i doczesne dobra.

Gdybyż ci ludzie z dolin wiedzieli, że jedynym sprawiedliwym śmiechem na ziemi jest śmiech w blasku słońca i obliczu przyrody...

Siła fizyczna w starodawnej Polsce.

Czy dzisiejsze pokolenie skarlało? Tyle czyta się i słyszy nieraz opowieści o dawnych czasach olbrzymów i mocarzy, tyle spotyka się nadzwyczajnych wspominków siły i wytrzymałości, tyle słyszy się wreszcie od starych ludzi smętnych wspomnień — jak to za czasów ich młodości „chłop był jak dąb i gdzie to dzisiejszym ludziom do niego" — że ogólnem jest przekonanie, jako praojcom swym przynieślibyśmy wstyd i każdego z nas utłukłby potężny praszczur na miazgę.

Tymczasem z rozmiarów rozmaitych zabytków, zwłaszcza pancerzy żelaznych i ubrań, wnioskować możemy, że przeciętna miara ojców naszych nie była większą od miary dzisiejszego pokolenia. Inaczej jednak z siłą fizyczną. Pamiętać przecie należy, że przodkowie nasi, zwłaszcza na przełomie średniowiecza, nie lubowali się w wygodach i nie mieli ich, natomiast wiedli żywot pełen trudów i ciężkiej fizycznej pracy. Polowanie, szermierka i turnieje z ogromnym szeregiem przeróżnych ćwiczeń rycerskich, dalekie podróże konno, częste przebywanie pod gołem niebem, a nadewszystko wojowniczy żywot, złożyły się na to, że każdy posiadał znacznie większą siłę muskularną, zdrowie, wytrzymałość, a zatem szły: rycerskość, siła woli i energja. (Obserwować też możemy, że z chwilą tak zwanego „zniewieścienia" znikły

objawy siły fizycznej i sprawności, a pojawiły się patologiczne okazy ludzi jedzących i pijących ponad wszystką miarę).

Za czasów kwitnącej, bujnem życiem tętniącej i potężniejącej Polski i za czasów wojowniczej szlachetczyzny, siła fizyczna i sprawność w wielkiem były poważaniu i cenie. To też starodawne kroniki i pamiętniki zachowały nam niezwykle długi i zajmujący szereg mocarzy o zadziwiającej sile i sprawności. Wiele oczywiście w kronikach tych jest przesady, do jakiej skore było społeczeństwo lubujące się w potężnej sile fizycznej, wiele jest materjału anegdotycznego lub zgoła nieprawdopodobnego, nie da się jednak zaprzeczyć, że zapisków tych jest mnóstwo już od Długosza począwszy, a na ścisłych źródłach późniejszych skończywszy i że wszystkie opisują tak nadzwyczajne przypadki ogromnej siły, że wnioskować można, jako ogół narodu musiał być krzepki i wytrzymały.

Legenda o ogromnej mocy naszych praojców była i do dnia dzisiejszego jest żywą w Polsce. Marzenia o zdrowiu fizycznem i sile nie opuszczały nigdy narodu dążącego ku lepszej przyszłości. Może tylko w ponurych przedrozbiorowych czasach zapomnieli polacy, z jakiego rodu pochodzą. Była to jednak chwila — po której epopeja Kościuszkowska, Napoleońska i okres walk wolnościowych dowiodły niezbicie zdrowia i siły społeczeństwa i dążenia do fizycznego odrodzenia.

Przytoczmyż jednak kilka wyjątków z dawnych kronik, które opowiedzą nam o legendarnych tych mocarzach. Podajemy je, nie porzucając szczegółów anegdotycznych i mało prawdopodobnych. Nawet i w dzisiejszych bowiem czasach spotykamy dowody tak ogromnej i tak nieprawdopodobnej siły, że zbyt sceptycznie na stare kroniki spozierać nie możemy.

Marcin Bielski i Bartosz Paprocki opowiadają, że dworzanin Aleksandra i Zygmunta Starego Wojciech Brudzyński, sześciu rycerzy w całkowitych zbrojach na barkach swych dźwigał. Onże znanym był z tego, że konno w bramę wjechawszy za poprzeczną belkę chwytał i konia swego nogami do góry unosił...

Syn wojewody mazowieckiego Stanisław Ciołek, zasłynął w XIV wieku ponad wszystkich mocarzy w Polsce. Dorostkiem będąc, na ławę wstępował i chwyciwszy w każdą rękę dorosłego męża, tłukł jednym o drugiego do woli. W późniejszych czasach, miecz krótki lub długi skręcał w ręku jak łyko. Opowiadają o nim, że raz zapragnąwszy we wsi swojej Ostrołęce łaźni po uciążliwem polowaniu, na wiadomość, że budynek łaźni zajęty jest przez braci i sługi, wpadł w gniew i chwyciwszy za róg łaźni z bierwion zbudowanej, tak zręcznie przewrócił, że światu nagich pokazał. Słynny był z tego, że ścisnąwszy w dłoni świeże drzewo, wyciskał z niego sok jak z gąbki, a oznaczywszy na ziemi krótkim mieczem koło, nie pozwolił się z niego wyciągnąć za sznur i dwunastu ludziom. Dwie razem złożone podkowy rozciągał lub łamał, a sznury konopne przez bartników używane (tak zwane leziwa) rwał jak nici. Siłą swą nadludzką na dworach zagranicznych zasłynął. Z Kazimierzem Wielkim przebywając w Pradze, podrażniony przechwałkami siłacza czeskiego, poszedł z nim w zapasy i tak go ścisnął, że ducha z niego wypędził. Mocarz ten zginął śmiercią bohaterską pod Włodzimierzem w roku 1356, walcząc z Tatarami, którzy Wołyń opanowali.

Król Zygmunt Stary znany był ze swej niezwykłej siły. Kuszę bez lewara naciągał, podkowy łamał, sznury rwał, a w późnym już nawet wieku talję kart przedzierał.

Wojciech Lachocki, cześnik ziemi Dobrzyńskiej, w pełnej zbroi rycerskiego przeskakiwał konia.

Paprocki wspomina o kasztelanie zakroczymskim Stanisławie Radzymińskim, który najdzikszego konia za łeb chwyciwszy poskramiał niezawodnie, a dużego chłopa na wyciągniętej bujał dłoni.

Tenie kronikarz wspomina Kaliszanina, Wojciecha Chodzickiego, taką siłę w głowie mającego, że bramy z zawias nią wybijał.

Bielski z uwielbieniem wspomina o Niezabitowskim (woj. Lubelskim) z drugiej połowy XVI wieku. Scibor, herbu Ostoja, przepłynął w zbroi Dunaj pod Wiedniem. Kasztelan zakroczymski, Tomasz Olędzki, pięć talarów bitych, na kupę złożonych, przerąbywał szablą. Z księży zasłynął proboszcz bohotnicki Druszkowski, który doprowadzony do gniewu, że cudze konie weszły mu w ogród, poprzerzucał je przez mur. Dźwigając czterech ludzi na swych barkach, podskakiwał znany siłacz Zagiel — szlachcic litewski.

Gdy król Aleksander zwiedzał kopalnie w Wieliczce, szlachcic Jan Jordan, przybrany w zbroję husarską, z okrzykiem „za zdrowie króla Jegomości" szeroki otwór szybu przesadził, za co został mianowany żupnikiem.

Wojciech Łochocki, podczaszyc dobrzyński, w ciężkiej zbroi, dalej i lepiej niżli koń skakał. Mikołaj Pieniążek za Stefana Batorego czasów, trzymając razem nogi, takoż w zbroi, bardzo wysoko podskakiwał.

August II, Sas, dla swej siły, nie dla pochlebstwa zwany był Mocnym. Podkowy łamał, a w Gdańsku działko, falkonetem zwane, podnosił jak pistolet. Przecież za jego czasów silniejszym był Marcin Cieński regimentarz. Opowiadają o nim, że na dworze króla pragnącego poznać jego niezwykłą siłę, sztaby żelazne na szyjach drabantów pookręcał. Gdy król odjąć ich nie mógł, zawołano znanego ze swej siły kowala. Ale i ten nie podołał, orzekając, że teraz chyba łby do pieca wsadzać trzeba, by żelazne jarzmo odjąć. Cieński wtedy z łatwością poodkręcał sztaby, dowiódłszy, że od obu był silniejszy.

Nie brakło także przykładów krzepkości i mocy dawnych Polek. Siostra Teodora Lackiego (znanego z swej siły mocarza, co drzewa darł z korzeniami, a w Wenecji wołu, który rzucił się na niego, obalił na ziemię i kark mu złamał — bohatera z pod Kircholmu) rwała pancerze. Księżniczka mazowiecka Cymbarka, (1412) poślubiona Ernestowi Zelaznemu, matka cesarza Fryderyka III, laskowe orzechy w palcach gniotła i pancerze łamała. Panna Grabowska z poznańskiego i Barska w kaliskiem, olej wyciskały z garści orzechów laskowych, zgniecionych w dłoni. Córka wyżej opisanego Cieńskiego, gdy w domu powadziło się ze sobą dwóch szlachciców, za pasy ich chwyciła razem i do ogrodu wyrzuciła.

Helena Ogińska, córka Kazimierza, na słynnym karuzelu w Dreźnie podczas wesela królewicza saskiego Fryderyka, mając lat 18, wszystkie rycerskie sztuki z taką zręcznością odbyła, że pierwszą nagrodę otrzymała. Dożyła bardzo późnego wieku i jako staruszka już słynęła z tego, że srebrne talerze w trąbkę zwijała i rozwijała i talary w palcach łamała.

* * *

Nie miejsce tutaj na dalsze mnożenie kronikarskich zapisków i badanie źródeł historycznych. Nadmienić jedynie wypada, że przytoczone tu przykłady są wybrane z całego ogromnego szeregu. Nie wspominamy tu o późniejszych czasach, o ustnych podaniach, a nadewszystko o ludowych wieściach, gdzie drzemie legenda mocy, wytrzymałości i radości z życia. Same naprzykład opowieści ludu podhalańskiego z czasów chodzenia „na zbój" i słynnych myśliwskich postaci, dają nam prawdziwą galerję legendarnych mocarzy.

Może kiedyś polski sport doczeka się opracowania historji wychowania fizycznego w Polsce. Nie powinno wtedy zabraknąć gruntownego obrazu dawnych czasów, z których tradycji powstało dążenie dzisiejszego pokolenia do fizycznego odrodzenia społeczeństwa. Zródłowe i szczegółowe opracowanie dałoby niezwykły materjał. _Zebrał f._



Z NARCIARSTWA.

I. Na lewo u góry. Meta biegów głównych w czasie I. międzynarodowych zawodów narciarskich w Zakopanem. Tłumy widzów kilkusetmetrowymi łańcuchami zalegały zakończenie trasy.

II. Na lewo u dołu. Słoneczna kąpiel podczas wycieczki narciarskiej.

III. W środku u góry. Widok na halę Gąsienicową w śniegu.

IV. W środku. Na szczycie Beskidu w bardzo mroźny dzień.

V. W środku u dołu. Na pogórzu tatrzańskim.

VI. Na prawo u góry. Widok z drogi na Boczań ku Kalatówkom i Giewontowi, tudzież charakterystycznemu Suchemu Zlebowi.

VII. Na prawo u dołu. Świeża okiść śnieżna w lesie.



Henryk Brand.

Gry olimpijskie.

„Panta rei". Wszystko płynie. Stare odchodzi, nowe przychodzi i znika znowu, zapadając w przeszłość. 2699 lat upłynęło od czasu, w którym poraz pierwszy zebrały się wszystkie szczepy greckie, celem odbycia pierwszych zawodów olimpijskich. Gry te, które odbywały się na cześć Zeusa, grzmiącego w Olimpji (nie miasto, tylko otoczona murami dzielnica Altis, z jej świątyniami, boiskami do gier i mieszkaniami dla urzędników), były świętem narodowem greków. Co czwarty rok, w czasie lata, gromadził się kwiat Grecji: poeci, artyści, uczeni i mężowie stanu, biedni i bogaci w wspaniałej dolinie przed bramami miasta Pizy u stóp góry Olympos i Kronos nad brzegami Arell, Alpheios i Kladeios, by pod osłoną boga pokoju wziąć udział w przyjacielskich zawodach. (Jak wielkie znaczenie miały gry olimpijskie świadczy fakt, że używano ich do rachuby czasu. Rok 776 przed Ch. jest początkiem tej rachuby, która utrzymała się jeszcze do dziś dnia w historji sztuki. Olimpjada był to więc czas od jednej uroczystości do drugiej, a więc 4 lata).

Oparte na zawodach w kształceniu sprawności moralnej i cielesnej, rozwijającej harmonijnie duszę i ciało, wzmacniały Olimpjady poczucie narodowe wolnych obywateli Grecji i wpływały korzystnie na jej kulturę i politykę. Było to święto narodowe; obcokrajowiec mógł wprawdzie przyglądać się zawodom, ale uczestniczyć w nich nie mógł. Narodowość i miejsce urodzenia w Grecji było więc warunkiem przyjęcia dla każdego zawodnika; dzisiaj pragną wszystkie narody kulturalne zwycięstwa swoich synów.

W roku 776 przed Chr. odbyły się pierwsze gry olimpijskie a pierwszym, którego głowę ozdobił wieniec wawrzynowy, był Koroibos. Od tego czasu ubiegali się przez jedenaście wieków wybrańcy greckiego a potem i rzymskiego narodu o palmę zwycięstwa w Olimpji. Charakter narodowy miały gry aż do czasu zawojowania świata przez rzymian. Nieprzekupni przedtem sędziowie, stali się potem zbyt łaskawymi dla zdobywców rzymskich, to też nic dziwnego, że Nero, cezar rzymski, ambitny i śmieszny komedjant, zdobył dla siebie niemniej jak 1880 wieńców, w tem wiele olimpijskich. Ostatnia Olimpjada odbyła się w roku 394 po Chr., kiedy to cesarz Teodozjusz postanowił zerwać z „pogańskim zabytkiem". Po przerwie, liczącej 1500 lat, wznowiono za myślą barona Coubertina w roku 1896 gry olimpijskie, które w czasach nowoczesnych odbyły się znowu poraz pierwszy na gruncie klasycznym w Atenach. Baron Pierre de Coubertin sprawił więc, że odtąd co 4 lata gromadzą się wszystkie narody, by światu dać dowód swej tężyzny i sprawności narodowej.

Starożytne gry olimpijskie miały w czasach swej największej świetności przebieg niezmiernie interesujący. Naturalnie, że nie odrazu obejmowały one wszystkie rodzaje walk. Początkowo gry trwały tylko jeden dzień i obejmowały wyłącznie bieg na szybkość. Później dopiero przybyło walk i gry rozszerzono na 5 dni. W roku 724 przed Chr. dołączono bieg podwójny, w 720 przed Chr. bieg na wytrzymałość, w 708 przed Chr. zapasy i pięciobój, w 688 przed Chr. walkę na pięści, w 680 przed Chr. wyścigi czwórkami koni, w 646 przed Chr. walki zapaśnicze i na pięści (pankration), w 520 przed Ch.. bieg uzbrojonych, w 394 przed Chr. wreszcie zawody trębaczy i heroldów. Wszystkie zawody z wyjątkiem wyścigów konnych, które odbywały się w hippodromie, odbywały się w stadjonie i nazywały się grami gymnicznemi (gymnos po grecku znaczy: nagi, gdyż wszyscy zawodnicy walczyli nago). Kobietom nie wolno było przypatrywać się grom olimpijskim. Po drugiej stronie brzegu Alpheiosa obozowały one, wyczekując wiadomości o szczęściu lub nieszczęściu i losie swych ukochanych.

W roku olimpijskim, już na kilka miesięcy przed terminem gier, ciągnęli przez miasta Grecji heroldowie Zeusa, głosząc święte zawieszenie broni i wzywając młodzież do udziału w przyjacielskich zawodach.

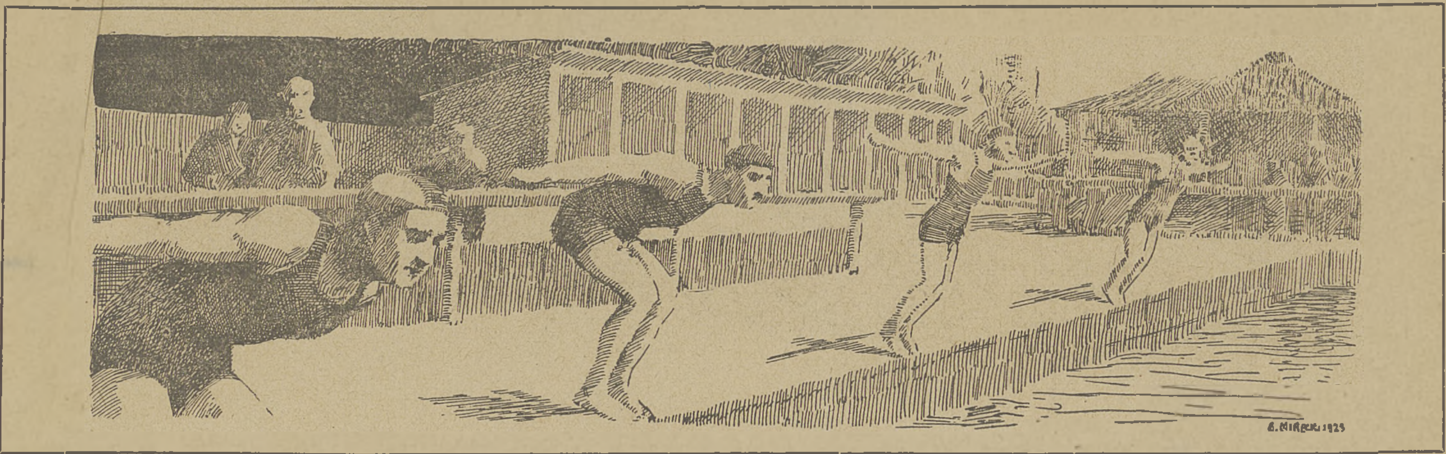
Kto chciał uczestniczyć w grach olimpijskich, musiał się zgłosić i dowieść, że przez 10 miesięcy pilnie ćwiczył w „gymnasium". Egzaminatorami byli sędziowie, mianowani przez lud. Ostatnich 30 dni musiał zawodnik przepędzić w Altis, gdzie odbywał jeszcze trening i odbierał ostatnie wskazówki swych nauczycieli. Przez czas ten musiał on prowadzić odpowiedni tryb życia, a pożywieniem jego były świeży ser i mięso.

Tymczasowo zamieniała się Olimpja w miasto namiotów i bud. Zewsząd przybywały pieszo i na wozach tłumy ludów, przywożąc z sobą bogate dary miast na ofiary i jako nagrody dla zwycięzców. Donośny głos przekupniów i śmiechy rozbawionej młodzieży mieszały się w dziwną symfonję z rykiem zwierząt, prowadzonych do ołtarza ofiarnego.

Gry olimpijskie rozpoczynały się uroczystym pochodem do Altis, gdzie składano ofiarę na cześć Zeusa. W pochodzie tym, który otwierali heroldowie, kapłani i sędziowie, brali udział zawodnicy, wysłannicy miast, wybitni poeci, artyści, uczeni, goście a wreszcie niezliczone masy. Przed ołtarzem Zeusa odbierano następnie uroczystą przysięgę od sędziów, że będą sprawiedliwymi i od zawodników, że będą uczciwie walczyli. Na rozrywkach i ucztach upływał pierwszy dzień olimpijski.

Drugiego dnia gromadzili się wszyscy w stadjonie, zbudowanym w kształcie prostokąta (221 x 32 m.), otoczonego amfiteatralnie wznoszącemi się miejscami dla widzów, których pomieścić mógł 40—50.000. Arena pokryta była grubą warstwą piasku. W r. 395 po Chr. zniszczyli stadjon Gotowie pod wodzą Alaryka a straszne trzęsienie ziemi zamieniło go w r. 522 i 551 w gruzy.

W dniu tym odbywały się najpierw zawody chłopców, a wymagano od nich wiele. Co o tem pisał Arystoteles, jeden z największych filozofów, mogą przyjąć do wiadomości i dzisiejsi wychowawcy młodzieży. Arystoteles powiada, „że z zwycięzców olimpiskich dwóch albo trzech,



którzy przedtem jako chłopcy współzawodniczyli, wygrywali później jako dojrzali mężczyźni, gdyż przez wczesny wysiłek, którego wymaga ćwiczenie przedwstępne, siły ich tak zostały wyczerpane, że później zabrakło ich im w wieku dojrzałym". Lżejsze wprawdzie warunki obowiązywały w zawodach chłopców, niemniej walczyli oni z pełną powagą dojrzałych.

Trzeci dzień przeznaczony był na spotkania mężczyzn. Najpierw odbywał się bieg na wytrzymałość na 4068 m. Zawodnicy musieli 24 razy przebiec piaszczysty tor. Potem następował: bieg na szybkość (192 m). Wśród niebywałego podniecenia tłumów mknęli biegacze przez bieżnię, dotykając ledwie nogami ziemi, a pisma tych czasów pełne są uznania dla szybkości uzyskiwanej przez zawodników. Najpierw biegały grupy, złożone z 4 zawodników, a potem walczyli zwycięzcy pomiędzy sobą. Czasu biegu nie mierzono. Bieg podwójny na 384 m., tor tam i z powrotem. Zwycięzcy w poszczególnych grupach musieli odbyć jeszcze jeden bieg a zwycięzca tego był olimpijczykiem tj. odznaczonym wieńcem zwycięzcą.

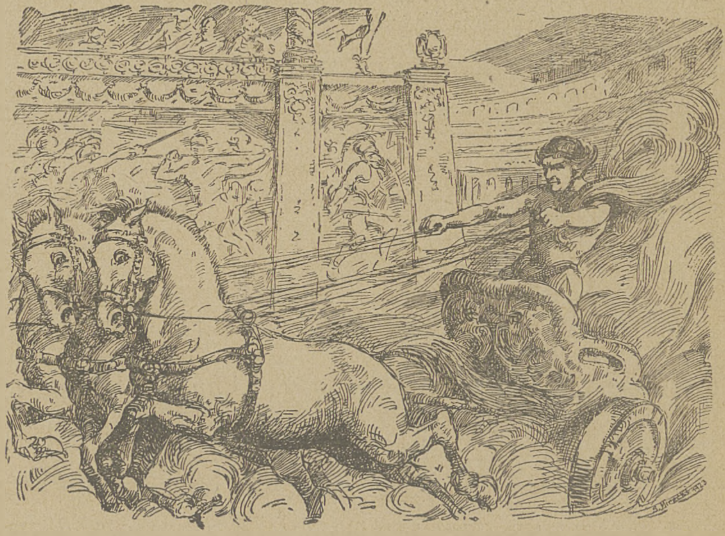
W dalszym ciągu następowały walki zapaśnicze. Konkurenci smarowali swoje ciało przed walką oliwą, by uczynić je gibkiem a potem posypywali piaskiem, by umożliwić przeciwnikowi chwyty. Wszelkie zaś chwyty a nawet i podstawianie nóg, duszenie itd. były dozwolone, a zwycięzcą był ten, który trzechkrotnie powalił swego przeciwnika na ziemię. Los wyznaczał pary a zwycięzcy poszczególnych par walczyli następnie między sobą, tak, że ostateczny zwycięzca musiał odbyć szereg walk.

Jednym z najsławniejszych zapaśników był Milon z Krotonu, który sześć razy zdobył wawrzyny zwycięskie. Był to olbrzym o niebywałej sile, który samą wagą swego ciała powalał przeciwnika. O mężu tym pozostały liczne zapiski. Pewnego razu obnosił on czteroletnią krowę po stadjonie. Dziennie zjadał on 4 kg. mięsa, tyleż chleba i pił 5 i pół litra wina.

O wiele brutalniejszą była walka na pięści — boksowanie. Jest ona jedynym ciemnym punktem na słońcu Olimpji. Zawodnicy zawiązywali sobie ramiona i przedramiona skórzanymi rzemieniami aż do nasady palców a potem pięścią uderzali na siebie. Walczono z niezwykłą zaciętością i niejednokrotnie walki kończyły się śmiercią. Zazwyczaj walczono tak długo, dopóki zwyciężony podniesieniem ręki nie dał znaku, że się poddaje. Znanem jest zachowanie się Eurydamosa, który połykał wybite zęby, by zdarzenie to uszło uwadze przeciwnika. W literaturze przechował się też opis następującego, strasznego epizodu: Kreugas i Damoxemus walczyli ze sobą cały dzień bez rozstrzygnięcia. By położyć kres tym zmaganiom, zgodzili się obaj zawodnicy zadać sobie wzajemnie rany, nie stawiając przeciwnikowi oporu. Kreugas uderzył swego partnera w głowę, Damoxemus zniósł to uderzenie i polecił Kreugasowi podnieść ramię tak, że skóra na boku jego ciała silnie się napięła. Wtedy Damoxemus tak silnie uderzył swymi palcami, zaopatrzonymi ostrymi paznokciami, że przebił powłoki brzuszne, chwycił wnętrzności i wyciągnął je na zewnątrz.

Bardzo krwawym był też pankration. Była to kombinacja walki na pięści i zapasów. Zawodnicy zadawali sobie rany wyciągniętymi palcami. Walkę tę porównaćby można do współczesnych bójek ulicznych.

Czwartego dnia przedpołudniem odbywały się wyścigi wozów zaprzężonych w konie i popis w jeździe na koniu. Gry te, w których przeważnie uczestniczyła arystokracja, były najszlachetniejsze i najwspanialsze. Odbywały się one w hippodromie, który był tak wielkim, że 40 wozów mogło naraz startować. I on został kompletnie zniszczony. Scigano się na przestrzeni wynoszącej 4600 m. Zawodom tym mogły się też przypatrywać kobiety, ponieważ tutaj zwyciężał koń a nie człowiek. Wieniec otrzymywał nie woźnica lub jeździec ale właściciel koni.



Po południu gromadzili się znowu wszyscy w stadjonie, by być świadkami ostatnich walk. A był nim pięciobój (pentathlon): bieg, zapasy, skok, rzut dyskiem i rzut oszczepem. Bieg i zapasy odbywały się podobnie, jak opisano wyżej. Jako dysk służył najpierw kamień a potem krążek metaliczny obwodu talerza i wagi 2 kg. Zwycięzcą był ten, który rzucił najdalej. Rzuty na 30 m. nie należały do rzadkości. Szereg takich dysków odnaleziono, a największy z nich pochodzi z 255 olimpjady. Oszczepem rzucano do jednego celu, a więc nie tak, jak dzisiaj na dalekość. Skok (najprawdopodobniej trójskok: w dal, w zwyż i w dół) wykonywano, mając w rękach ciężarki, podobne do dzisiejszych w gimnastyce używanych, by powiększyć dalekość skoków. Skakano z odpowiednio przyrządzonej odskoczni, przed którą rozgrzebywano ziemię na odległość 50 stóp greckich; dalsze skoki nie zdarzały się. Phaylos skoczył raz na 55 stóp t. j.



16 m. Warunkiem dobrego skoku było silne utrzymanie się na nogach po skoku. Zwycięzcą w pięcioboju był ten, który zwyciężył przynajmniej w trzech dyscyplinach.

Biegu maratońskiego nie znano. Bieg ten wprowadzono do igrzysk olimpijskich na Olimpjadzie 1896 w Atenach na cześć posłańca, który po zwycięstwie Miltiadesa nad Persami pod Maratonem, przebiegł 42 km. do Aten, zawołał „zwycięstwo" i padł martwy.

Na tem kończyły się właściwe gry olimpijskie.

Piąty dzień przeznaczony był na rozrywki, ofiary i pochody. Dnia tego odbywało się wieńczenie olimpijczyka, szczęśliwego zwycięzcę. Wszyscy gromadzili się przed świątynią Zeusa, w której znajdował się wspaniały posąg jego ze złota i kości słoniowej — dzieło Fidjasza. Heroldowie wywoływali zwycięzców, wymieniając nazwisko jego ojca i miejsce rodzinne. Zbierali się wtedy zwycięzcy, każdy z gałązką palmową w ręku, którą otrzymywali zaraz po skończonej walce, by odebrać wieniec z gałązek drzewa oliwnego, ściętych przez pacholęta złotym nożem w gaju Altis, zasadzonym przez Herkulesa. Wśród niebywałego entuzjazmu obecnych, wręczali sędziowie zwycięzcom wieńce, poczem udawali się oni w drogę powrotną do domu, w której towarzyszyły im tłumy. Był to prawdziwy pochód trjumfalny. Miasto rodzinne przyznawało zwycięzcy szereg przywilejów i honorów, a czasem współobywatele burzyli część murów obronnych swego miasta, gdyż miasto to, mając takich synów, nie potrzebuje innej obrony. W Atenach otrzymywał olimpijczyk 500 drachm dożywotniej pensji i honorowe miejsce na przedstawieniach publicznych. Wieńca jego strzegli kapłani w świątyni, a posąg jego ustawiano w świętym gaju w Olimpji. Ta błyszcząca sława była impulsem do ciężkich i długoletnich przygotowań się zawodników do olimpjady.

Nowi rekordziści polscy.

Rozwój sportu polskiego był zawsze, a szczególnie w czasach wszechładnie obejmującego władzę nad naszem życiem społecznym, materjalizmu, kopciuszkiem w ścisłem tego słowa znaczeniu i ze wszystkimi pojęciu temu towarzyszącymi objawami.

Brak wszelkiego, choć uzasadnionego i za konieczność już prawie wszędzie uważanego poparcia tej może najważniejszej gałęzi w programie życia i wychowania młodzieży naszej stał się przysłowiowym.

Gimnastyka mózgu, wychowywanie nad potrzebą całej plejady bezproduktywnie pracujących dla właściwego celu społecznego, ludzi organicznie ułomnych, przepełniających już w kwiecie wieku szpitale i sanatorja dla gruźlicznych, stało się jakby przywilejem, programem niezłomnym tych, którzy mimo, lub z wolą naszą, kierownikami całokształtu życia naszego bywali.

I gdy przed pół wiekiem znalazł się na ziemi polskiej człowiek, który jako cel życia obrał sobie naprawienie zła i usunięcie krzywdy dokonywanej bezkarnie na najdrogocenniejszym dobytku naszym i przyszłości naszej i gdy po latach trudu i ofiar stworzył bez niczyjej pomocy wzorowy park dla ćwiczenia młodzieży w Krakowie i chciał w trosce o przyszłe losy jego oddać go w zarząd i na własność gminy, wówczas spotkała go przykrość, jakiej zapewne choćby podobnej, w swym zasłużonym żywocie nie doznał.

Wygapiono się nań, nawet nie w sposób woła wprowadzanego w nowe wrota, lecz wręcz drwiąco, kreśląc niedwuznacznie a dobitnie symbol obłędu przed swemi zapleśniałemi mózgownicami.

Z takimi objawami spotkał się Jordan przed trzydziestu kilku laty na błoniach krakowskich.

A gdziekolwiek indziej zakiełkować pragnęło przezeń posiane ziarno, na podobną natrafiało glebę.

Warjat, było powszechnie używanem określeniem ludzi, przedkładających prośby gospodarzom miasta, o przyjście z pomocą w założeniu parku, lub choćby boiska dla młodzieży. Mówiono głośno nie możemy, po cichu troska o dobro krów radzieckich w dalszym uporze i kołtuństwie ojców miasta konserwowała.

Lecz wreszcie świtać zaczęło! — I jak zwykle od wschodu. Fatalizm wojennych zawieruch i tym razem zebrał najobfitsze żniwo, na wzgórzach lwowskich.

Przebudziły się szeregi młodzi tamtejszej, nie pomieścił rozległy cmentarz łyczakowski całego krwawego pokłosia, jaki legł w obronie wschodniej reduty Rzeczypospolitej.

Przydzielono nowy kawał ziemi, na wyłączny spoczynek najserdeczniejszych kości.

— I jeszcze nie zazieleniały na pięknym stoku liczne mogiłki, gdy u stóp jego rozpoczęła się ciężka praca przy budowie... boiska sportowego.

I liczne jeszcze razy, żałobne przerywały modły gorliwe zabiegi pozostałych towarzyszy z ostatnich krwawych harców lwowskich, bo przyszło pożegnać dawnego przyjaciela, a powitać nowego sąsiada, na jego wiecznej doczesnej siedzibie.

— Wy co tu robicie? — zapytałem

— Swoje boisko budujemy — odpowiadano butnie.

— A kto wam grunt oddał?

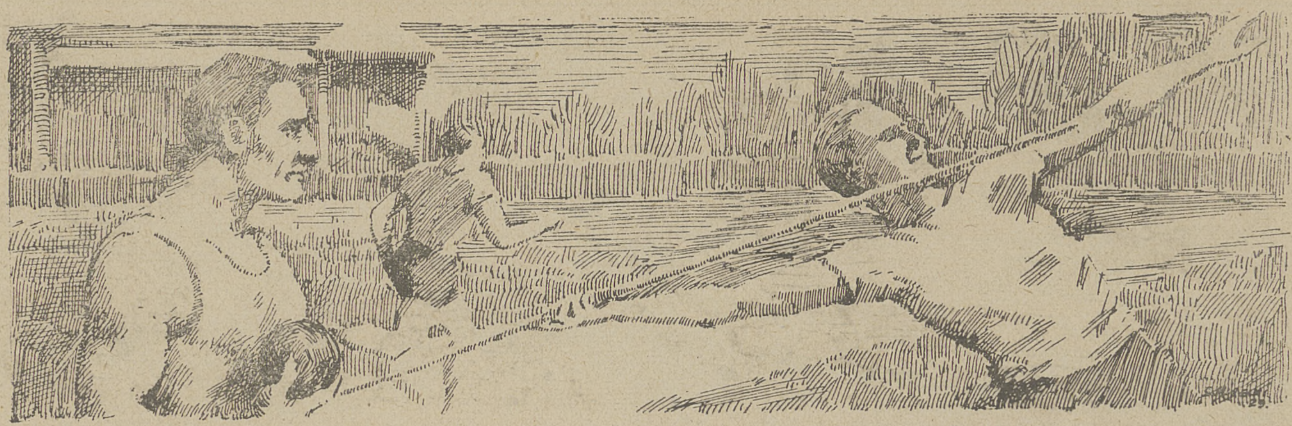
— Gmina miasta Lwowa!

W dostojnem sąsiedztwie zakładano kuźnicę dla wyrównania wyłomu, poczynionego w żywym murze ochronnym odrodzonego państwa — na gruncie miejskim.

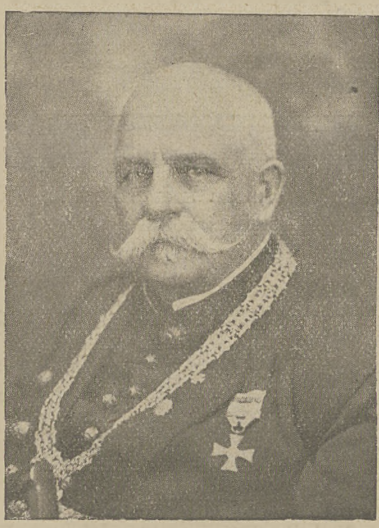
A równocześnie po przeciwnej stronie, na zoranej co tylko lejami Persenkówce, ta sama wre praca, ten sam obraz, acz w większych cokolwiek rozmiarach.

Na najpiękniejszym, najczarniejszą rosą użyźnianym gruncie miejskim, poci się młodzież nad wielkiem dziełem... sportowem!

Doczekali się wreszcie miejsca pod własną sadybę, zakładają silny zrąb pod wielką, nietylko dla nich budowę.



— Błogosławi ksiądz Słowem Bożem ukończonej pracy.
Lecz z ust, do kościelnych przywykłych modłów, nie płyną tym razem słowa przygodne ewangelji, lecz jakieś nowe wygłaszają myśli, o zdrowem ciele, o zdrowym duchu i o... posłannictwie sportu!



Józef Neuman, prezydent miasta Lwowa.

— Rojno przed bramą ratusza lwowskiego.
Po raz już niewiadomo który, powtarza p. Łabędź licznym interesantom:
— Niema pana prezydenta Neumana!
— A gdzie? — dopytują.
— Pojechał z panem radcą Höflingerem na komisję.
— Jakaż dzisiaj komisja?
— Sportowa — na Pilichowskiej Górze!
A na szczycie wzgórz, zamykających od północnego wschodu dolinę, którą ongiś od dzikich pól i stepów wrogie ku Lwowu ciągnęły watahy, w której niedawno jeszcze Abrahama wilki, czerwonych Budiennego osadziły dzików — niezwyłe tym stronom toczą się rozprawy.
Siwowłosy władca grodu, w towarzystwie gospodarza gruntów miejskich, otoczeni gwarnym wieńcem młodych ludzi, wysłuchują „poważnych“ oracyj.
— Koniecznie nam tego miejsca potrzeba, nie mamy gdzie grać, na stryjskie mila drogi i nie dopuszczą nas tamtejsi na swój plac, na tej łące w dole przepędza właściciel, przy szkole boiska niema, więc dlatego o ten grunt prosimy.
— Toż to same debry, co wam z tego przyjdzie?
— Damy radę — mówią — tu się skopie, tam się zasypie, sto na siedmdziesiąt tylko potrzeba,
— To dwa morgi aż zanadto.!
— Przecież trzeba i bieżnie urządzić i skocznie zbudować i szatnię postawić — objaśniają, a pewnik, że dwa morgi „tak jakby już były“ dodaje otuchy — podnosi się ogólna i zgodna jeremjada:
Panie prezydencie, pięć trzeba koniecznie — panie radco dobrodzieju, przyczyń się za nami — żebrzą litościwie niby dziady kościelne, jagniątka niewinne.
A dwa lata wcześniej, na tem samem miejscu, z nożykami w zębach, trupią główką na rękawie, terkotali na maszynce, spać ludziom nie dając, lub na „tamtą“ stronę szli na spalonego.
Bemaki natrętne.



Tadeusz Höflinger, radny miasta Lwowa.

— Miękną ojcowie miasta, dwaj mieszczanie lwowscy. Boć nie jałmużnę lecz dług osobliwy wyrównać należy, bo nie o zabawę, lecz o wielką sprawę idzie.

Więc z przychylnym wnioskiem na radę miejską śpieszą. Zdrowych chłopców na nową potrzebę wychować należy, siłę przygotować, gdy się skrzyknąć przyjdzie, a miastu naszemu przyszłość zabezpieczyć.

A przy zachodniej granicy Ziemi Małopolskiej, w starym grodzie książęcych rycerzy, na łąkach z gonitw turniejowych sławnych — też niezwykłe tym stronom toczą się rozprawy.

Gromada brzuchaczy przedmiejskich, z kupą ojców miasta, niesamowite jakieś wykrzykuje słowa.

— Po raz pierwszy — po raz drugi — kto daje więcej? taka piękna trawa!

Sypią się naddatki, bo interes pewny — puścić go nie można. A do konkurencji przystąpili niezwyczajni goście.
Proszą o dzierżawę gimnazjaści z miasta. Boiska im trzeba, bo klub założyli.
Lecz próżne wysiłki — dać więcej nie mogą. Nie pomógł swą swadą nawet pan profesor.
Zegnani drwiącymi uśmiechami ustąpili z placu. Nie mają prawa — nawet splunąć w oczy.
Zagarnął pan burmistrz srebrniki do kabzy. Interes się powiódł — kieliszki zabrzękły.
A tamci?



Niech książki pilnują! Zresztą mają czasem plac targowy wolny. Miejsca też dosyć, a że gnój na nim można powymiatać.

— Lecz już razem z wami — mieszczanie najmilsi — ciury obozowe. Bo nas wychowały kieszeń i żołądek — na rycerską ziemię rzucił nas przypadek — bo nas nie zrodziły odyseje lwowskie, jak rekordzistów ze wschodniej reduty.

Niechże w nowym roku przykład Lwowa znajdzie w każdym zakątku licznych naśladowców. Niech padną wszystkie we Lwowie stwarzane rekordy i ten największy z czasów odrodzenia. Niech miasto po mieście dumnie wykrzykuje;

Daliśmy pod boiska więcej, aniżeli Lwów!

To pierwsze i szczere życzenia, które składa Sportowi polskiemu w dniach tych uroczystych.

Narciarstwo polskie a Olimpjada.

Zaledwie miesiąc dzieli nas od chwili — kiedy narciarze nasi zmierzą się z przedstawicielami najlepszymi narciarstwa całego świata.

Zawody narciarskie odbędą się w Chamonix (Mont Blanc) w południowo zachodniej Francji, na granicy Szwajcarji, od 25 stycznia do 5 lutego 1924 w czasie tygodnia sportów zimowych.

Jak już swego czasu pisałem, zawody te, mimo, że są urządzane w roku olimpijskim i niejako pod protektoratem Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego, nie są włączone we właściwy program Olimpjady, to znaczy, że wyniki zawodów tych nie zaważą zupełnie o ocenie ogólnych punktów zwycięstw danego narodu, względnie państwa.

Co mogło wpłynąć na to, że jednak narciarstwo usunięto w ten sposób od normalnego udziału w Olimpjadzie?

Jako właściwą przyczynę przyjąć należy nie oficjalny stosunek wzajemny i rywalizację na polu sportowem państw skandynawskich, tj. Szwecji i Norwegji.

W Swecji, jak powszechnie wiadomo, sport stoi bardzo wysoko, tak wysoko, że Norwegja mimo największe wysiłki, nie może liczyć na to, aby w Olimpjadzie uzyskać w ogólnej ilości zdobytych punktów, lepsze miejsce od swego najbliższego sąsiada. Gdyby zatem narciarstwo włączono w program olimpijski, to nawet mimo ewentualnego zwycięstwa Norwegji w Chamonix, jest rzeczą prawie pewną, że w ogólnej ocenie olimpijskiej, zwycięstwo Szwecji nad Norwegją byłoby conajmniej pewne, jeśli nie druzgocące.

Przy obecnej koncepcji wyłączenia narciarstwa z Olimpjady, Norwegja posiada wielkie szanse figurowania — przynajmniej w narciarstwie, jako zwycięzca olimpijski.

Jakżeż jednak doszło do tego, że wszystkie narody wiedziały o powzięciu takiej decyzji Norwegji? Wszak Norwegja, nawet w połączeniu ze Szwecją, nie może stanowić większości w Międzynarodowym Kongresie Narciarskim.

Uchwałę odnośną tłumaczyć należy sobie pewnego rodzaju kurtuazją wobec Norwegji, która sprawuje od lat wielu rolę kierowniczą w narciarstwie światowem, wysokim poziomem narciarstwa w skandynawskich państwach oraz wpływami politycznymi. Obecność nasza na ostatnim Kongresie Narciarskim mogła, według wiadomości jakie posiadam, zaważyć w zmianie odnośnej uchwały, sądzę jednak, że nie przyłączyliśmy się do przeciwników Norwegji, albowiem koncepcję tę, wobec stosunku poziomu naszego narciarstwa do poziomu naszego sportu wogóle, uważam dla nas za szczęśliwą.

Sniegi w Chamonix będą przypuszczalnie terenem niesłychanego zmagania się przedewszystkiem państw skandynawskich o pierwsze miejsce w narciarstwie. Już w roku zeszłym, przedstawiciel Szwecji w Superbagnere kpt. Settenberg opowiadał o wielkich przygotowaniach jakie czynią Szwecja i Norwegja na to spotkanie na gruncie neutralnym. Będzie to zarazem drugi występ Szwecji na kontynencie europejskim, wyprawa bowiem Szwecji do Francji i do Czechosłowacji w r. 1923 była według słów kpt. Settenberga debjutem narciarstwa szwedzkiego poza półwyspem skandynawskim.

O dalsze miejsca ubiegać się będą: Ameryka, Finlandja, Szwajcarja, Austrja, Włochy, Polska, Francja, Czechosłowacja, Hiszpanja, Węgry, Jugosławja i t. d. Niemcy jak wiadomo nie będą brali udziału w Chamonix.

Jakież są nasze szanse, jakie uzyskamy miejsce w tem pierwszem wielkiem spotkaniu sportowem?

Pytanie to płynie obecnie z ust do ust — przebiegając Polskę wzdłuż i wszerz — odpowiedzi naturalnie udzielić nie może nikt. Trzeba się jedynie ograniczyć do przypuszczeń z własnemi przewidywaniami, i w tem względzie postaram się podzielić z czytelnikami Przegl. Sport.

Nim przystąpię do analizy narciarstwa i do momentów technicznych, które współdziałają w uzyskaniu zwycięstwa, poruszę moment najważniejszy mojem zdaniem: moment psychiczny, to jest wolę. W działaniach wojennych słyszymy, że nie zwycięża ten kto silniejszy, tylko ten co posiada większą wolę zwycięstwa. Te wolę wykazali nasi narciarze w pierwszym swoim występie zagranicznym w roku 1923 w Szwajcarji i we Francji, woli tej nie powinno im zabraknąć w Chamonix i przeciwnie, wiara w zwycięstwo, podtrzymywana do ostatniej chwili przez kierownictwo wyprawy, winna dać wyniki nadspodziewane.

Czegóż możemy się spodziewać po naszych narciarzach?

Technika jazdy na nartach rozwinęła się wogóle przeciętnie w okresie ostatniego piętnastolecia tak bardzo doszła do tak rafinowanej doskonałości, że jeśli jeszcze pozostały jakie niedomówienia co do teorji jazdy, mechaniki ruchów



i sposobu nauczania jazdy, to niedomówienia te są minimalne.

Technikę jazdy przyswoił sobie świat zawodników narciarzy w tak wysokim stopniu, że przeszedł nad nią do porządku dziennego, eleminując ocenę jej omal zupełnie z zawodów narciarskich, ocenę przejawiającą się jeszcze tu i ówdzie w formie „slalomów", biegów pięknej i sztucznej jazdy, etc. pozostawiając natomiast skok, jako ewolucję dającą najlepsze świadectwo opanowania techniki jazdy. Nie zdarzyło mi się spotkać dobrego skoczka, któryby jednocześnie nie opanował doskonale techniki jazdy krzywolinijnej na nartach, zdarza się jednak często, że się spotyka narciarzy fenomenalnie opanowujących wspomnianą technikę jazdy, którzy nie posiadają jednak dostatecznego pędu i dostatecznej odwagi do skoków i wielkich skoczni.

Każde społeczeństwo chcące się ostać, musi mieć dziś ludzi silnych, nietylko dla pokonania wysiłków wielkich i krótkich, jakimi jest skok na nartach, lecz także dla prac nie tak wielkich, lecz ciągłych, systematycznych i długich; taką pracę przedstawiają na nartach biegi długie (Langlauf), dochodzące do 50 a nawet i więcej km. długości.

W czem celują nasi narciarze?

Celują oni w doskonałem opanowaniu techniki jazdy, w czem nie ustępują zupełnie zagranicy. Kierownictwo naszego narciarstwa wykorzystało w sposób umiejętny zdobycze zagraniczne w tym względzie, a wprowadziwszy je w nasz sport zimowy wraz w własnym bogatym dorobkiem w tej dziedzinie, z niespotykaną omal u nas zgodną współpracą towarzystw i klubów, postawiło ono sport narciarski w Polsce w czasie stosunkowo bardzo krótkim, na wysokim poziomie. Najlepszą oceną dorobku naszego na tem polu, to wyniki nasze w skoku w Szwajcarji i we Francji, które przeszły niewątpliwie najśmielsze nasze oczekiwania. Trzecie miejsce uzyskane przez Rozmusa we Francji, przed którym znajdujemy jedynie jednego szweda i mistrza Szwajcarji (1923), a za nim drugiego szweda, francuzów, czechosłowaków i hiszpanów oraz piąte miejsce Krzeptowskiego w tym samym konkursie, a za nimi pozostawionych również francuzów etc., to sukces, który złotemi literami winien być zapisany w dziejach sportu polskiego. Niemniejsze znaczenie miał nasz występ w Szwajcarji, a zdobyte 8-me miejsce Krzeptowskiego w skokach w Grindelwaldzie, można wobec niesłychanej konkurencji, uważać za wiekszy jeszcze sukces od skoków w Superbagnere.

Listę poważnych kandydatów do skoków w Chamonix uzupełnić można nazwiskami Kalicińskiego, Bujaka i Mickenbruna, oprócz tego zaś mogą w pierwszych naszych konkursach skoków na nartach obecnego sezonu, wypłynąć na widownię nowe siły, które można wziąć pod rozwagę, przy ustaleniu naszej delegacji do Chamonix.

Inaczej zupełnie przedstawia się jednak sprawa udziału naszego w biegach. Jak już wspomniałem, biegi te wymagają cech, przeciętnie nie kryjących się z naszym charakterem. Długotrwałych i systematycznych treningów, poprzedzonych koniecznym treningiem w lekkiej atletyce lub piłce nożnej w lecie, nie można tak łatwo pogodzić z naszem usposobieniem, zapalnem, chwilowem, stygnącem już po pierwszych sukcesach, a powodującem zupełne zniechęcenie po doznanych porażkach. Gdyby te ogólne cechy posiadał każdy polak, zaiste byłoby źle! Na szczęście. jak wszędzie tak i tutaj mamy wyjątki i na tych wyjątkach postaramy się stawiać horoskopy co do wyników naszych w Chamonix.

Program zawodów narciarskich w Chamonix przewiduje biegi na nartach długości 12—18 km. i 50 km.

Położenie Chamonix i otaczające tereny zniewalają do przeprowadzenia biegów tych, albo o charakterze płaskim nizinnym, bez nadmiernych różnic wzniesień, albo też do założenia trasy wykazującej zaraz takie wzniesienie jak trasa w Superbagnere, to jest przeszło tysiąc m. różnicy.

Przypuszczam, że tak kraje skandynawskie jak również Finlandja, a także Szwajcarja, nie dopuszczą do tego, aby trasy biegów długich posiadały choćby tak podobny charakter do tych, których świadkami byliśmy w Superbagnere we Francji. Gdyby przewidywania te znalazły oddźwięk w kołach naszych narciarzy, wymagałoby to ustalenia typu biegów dla treningu ekspedycji do Chamonix. W każdym razie trzeba się liczyć z tem, że najwybitniejsze grupy narciarzy krajów północnych nie będą przeprowadzały treningów na terenach o tak wielkich różnicach wzniesień jak wspomniana, a ograniczą się do terenów swoich, przedstawiających charakter naszych przedgórzy tatrzańskich.

Mojem zdaniem biegu na 50 km. nie powinniśmy obsadzać, a skoncentrować natomiast nasze wysiłki do przeprowadzenia racjonalnego treningu w biegu na 12-18 km.

O ile ekspedycja nasza zeszłoroczna nie wybiła się w tych biegach, dochodząc w uzyskanych miejscach zaledwie do połowy liczby startujacych uczestników, o tyle po doświadczeniach nabytych w Szwajcarji i we Francji, winniśmy znacznie poprawić w Chamonix miejsca nasze!

O ile nie uważano jeszcze za możliwe obsadzenie przez nas biegu na 50 km. długiego o tyle bieg na 12-18 km. osądzam jako taki, do którego jesteśmy już dziś przygotowani.

Przechodząc następnie do obsady tego biegu. uzupełniłbym poza wymienionemi nazwiskami listę zawodników, których trzeba będzie zapewne brać pod rozwagę w układaniu ekspedycji, następująco: J. Zubek, St. Witkowski, Czarniak, W. Suleja, W. Czerwiński, Schielowie, Gąsienica i t. d.

Nie jest również i tutaj wykluczonem, że w zawodach kwalifikacyjnych niektórzy z wymienionych odpadną zupełnie, wskutek niedysponowania lub braku treningu, gdyż brak techniki jazdy nie może wchodzić u wymienionych w rachubę, a mogą podobnie jak w skoku pojawić się nazwiska zupełnie nowe, choć jest to mało prawdopodobne.



Kapitan PZN-u Wł. Ziętkiewicz przedłoży w tym względzie Zarządowi Głównemu swoje propozycje, a Zarząd Gł. zadecyduje ostatecznie wybór.

Jakie miejsca uzyskają nasi narciarze w Chamonix?.

Z tem pytaniem spotykam się bardzo często.

7-9 miejsce winniśmy otrzymać w tym pierwszem wszechświatowem spotkaniu! Mogą być naturalnie niespodzianki. Wielką rolę odgrywa w zawodach, jak wiadomo, dysponowanie, stan psychiczny, ta wola zwycięstwa o jakiej wspomniałem; są to czynniki nieprzewidziane, w wielkim stopniu zależne od kierownictwa wyprawy, które winno sobie dobrze zdawać sprawę ze swego posłannictwa. Zgodne współżycie między zawodnikami, pogoda w nastroju i bezwzględne przekonanie zwycięstwa wpajane w zawodników, to momenty ważne o których nie trzeba zapominać.

Olimpjada narciarska w Chamonix przewiduje jednak w programie swoim również bieg pań.

O ile w przewidywaniach o zajętem przez nas miejscu w konkursie mężczyzn — posunąłem się za daleko, wskazując aż na 7 miejsce, o tyle w biegu pań nie przypuszczam, aby zaistniały jakie względy, któreby mnie zmusiły do odstępywania od 1-go miejsca, które winniśmy uzyskać dzięki takiej przedstawicielce jaką jest p. E. Ziętkiewiczowa. Przypuszczam, że pani E. Z. w zrozumieniu tego wielkiego i ważnego zadania, jakie spoczęło na niej, a mianowicie zdobycia przez Polskę jedynego zapewne pierwszego miejsca w Olimpjadzie 1924 r., nie zaniedbała niczego, coby mogło dopomóc w uzyskaniu świetnego zwycięstwa, oraz że w przyszłości dołoży wszelkich starań, by dzięki zwycięstwu w biegu pań w Chamonix wsławić imię Polski w całym świecie.

Trudności finansowych nie przewiduję — nie powinny one stanowić przedmiotu spornego w decyzji, ile należy wyasygnować z funduszu PKIO. na ten cel. Trzeba im udzielić sumy jaka będzie potrzebną!

Narciarze z pewnością wstydu Polsce nie przyniosą a przeciwnie występ ich przyczyni się niewątpliwie do zjednania jak najlepszej opinji dla polskiego świata sportowego, co nie będzie obojętną rzeczą ze względu na nasz występ w Paryżu. *Bob.*

Nie jeden zawiódł się srodze, gdy ubierając narty łudził się, że będzie się poruszał po śniegu.

* * *

Kto nie umie łgać o lawinach, niech nie liczy na miejsce za narciarskim stołem.

* * *

Każdy narciarz przysięga na inne wiktuały, żre jednakże co pod rękę popadnie.

* * *

Kostjum norweski nie wyciągnie sam telemarka. *(tel).*

F. Goetel.

Słownictwo piłkarskie.

Słownictwo używane w piłce jest równie rozgałęzione jak i różnorodne. Powstawało ono samorzutnie, w miarę rozwoju sportu piłkarskiego — w użycie wchodziło w miarę rozwoju jego popularności. Dziś przedstawia mieszaninę słów o bardzo rozmaitej wartości ze stanowiska językowego. Słowa obce w postaci pierwotnej i zniekształconej, spotykamy w niem obok słów rdzennie polskich, moc nowotworów i tworów żargonowych. Pojedyncze próby oczyszczenia jak i ustalenia słownika skutku dotąd należytego nie odniosły. Chcąc pobudzić sportowców naszych do wymiany myśli na ten temat, poddaję słownik ten gruntowniejszej rewizji, trzymać się będę przytem systemu podawania wszystkich wiadomych mi w zakresie jednego pojęcia słów, idąc od góry ku dołowi t. j. od pojęć ogólnych ku bardziej zróżniczkowanych.

Piłka — piłka nożna — football — futbal.

Już zasadnicze pojęcie wskazuje, jak bogatą jest nasza terminologja piłkarska. Oczywiście jest to bogactwo pozorne. Z czterech bowiem podanych i używanych terminów — oba pochodzenia obcego t. j. football i futbal dawno już powinny były zniknąć ze stanowiska piłkarskiego. Pomimo tego używa się ich nałogowo. Osobiście nie widziałem ani razu afiszu, któryby donosił o zawodach piłkarskich, w piłkę nożną lub piłkę, a nie o matchu footballowym, meczu footbalowym, matchu futbalowym, czy meczu futbalowym. Przyczyną jest, obok zwyczajnego niechlujstwa, także i to, że z dwu używanych polskich słów t. j. piłka nożna i piłka — żadne nie uzyskało sobie bezspornego prawa obywatelstwa.

Osobiście byłbym za „piłką", „piłka nożna" bowiem jako zestawienie rzeczownika z przymiotnikiem stanowi już zwrot, mało giętki i ciężki. Używając krótkiego słowa „piłka", otwieramy temsamem możność określenia pojęcia drugiego: piłkarstwo (futbalizm) oraz przymiotnika piłkarski. Trzema temi słowami moglibyśmy określić krótko i celowo każde zjawisko z zakresu piłki. „Związek piłkarski", „zawody w piłkę", „polskie piłkarstwo", „buty piłkarskie" etc. Dalszą pochodną, równie dobrą, byłoby słowo „piłkarz". Spróbujmy to samo z „piłką nożną", a zobaczymy jak trudne będziemy mieli zadanie. Dla „futbalizmu" (piłkarstwa) wogóle nie znajdziemy określenia, tam zaś gdzie trzeba zastosować przymiotnik (futbalowy, piłkarski) budować musimy całe zwroty n. p. buty do (czy dla?) piłki nożnej.

piłkarz — futbalista

usunięcie „futbalu" ze słownictwa piłkarskiego przesądza z góry sprawę na korzyść „piłkarza". Prosta ta rzecz urozmaica się jednakże, gdy uprzytomnimy sobie, że w ściślejszej terminologji piłkarskiej używamy jeszcze słów

gracz — zawodnik

oczywiście z pomyślanym dodatkiem „w piłkę" czy „pił-



karski". Wiem, że słowo gracz, obok ogromnej rzeszy zwolenników, ma też i swoich przeciwników. Chodzi tu o to, że słowo to rozciąga się również w języku polskim na czynności zgoła niesportowe n. p. gra w karty, bilard, giełdę etc. Pomimo tego nie sprzeciwiałbym się używaniu go i nadal w piłkarstwie, które należy do sportów o wybitnym charakterze gry, a jak niektórzy chcą, jest nawet grą sportową. Niemniej przeto „zawodnik" jest słowem niewątpliwie piękniejszem.

Drużyna

jest na szczęście jednem z nielicznych bezspornych wyrażeń. Niema tego niestety w wypadku

team — tim — zespół.

Warto tu zaznaczyć, że team wszedł w użycie równie silnie i równie niepotrzebnie, jak match i football. Kiedy jednak match pisze się prawie zawsze fonetycznie t. j. mecz — team pozostawiono, nie wiedzieć dlaczego, w pisowni angielskiej. Jest to ciekawy przyczynek do pstrokacizny naszego piłkarskiego słownictwa. Odnośnie do meritum sprawy — niema chyba dwu zdań, że „zespół" jest słowem stokroć lepszem od teamu czy timu.

Boisko

należałoby na pozór również do tych nielicznych słów, co do których niema żadnych wątpliwości. I niema, ich jak długo boisko oznacza samą arenę gry. Używa się go jednak również wadliwie do określenia całego kompleksu urządzeń sportowych, dla których

park sportowy

jest właściwem i stosownem słowem. O ile więc na zawiadomieniach o zawodach dopuszczalny jest zwrot „odbędą się na boisku Pogoni" — to w chwili gdy oznaczenie miejsca uwidocznione jest u góry, jako nagłówek należałoby pisać: „Park sportowy Pogoni".

Widownia

trybuna

szatnia

nie potrzebują komentarzy.

Barwy klubowe

weszły w użycie bardzo silnie, nietylko jako określenie przynależności zawodnika do tego czy owego klubu („występował w barwach Cracovii") ale i wręcz jako określenie ubrania („Cracovia wystąpiła w nowych barwach"). Termin ten, zdaniem mojem, doskonały, który powinien w zupełności wyprzeć różne „koszulki", „ubranka" i „kostjumy".

Przejdźmy teraz do terminologji ściślejszej.

Bramkarz,
Obrońca prawy i lewy,
Pomocnik środkowy, prawy i lewy,

słowa te wyparły już w zupełności goalkeepera, backów i halfów. Często używa się zamiast „pomocnika" środkowego, wyrażenia „środek pomocy" — chcąc zapewne zaznaczyć wyjątkową rolę, jaką spełnia zawodnik na tem stanowisku. Wyrażenie to językowo słabsze od „środkowego pomocnika", przecież zachowane być może.

Więcej różnorodności spotykamy w określeniach graczy ataku.

Skrzydło — skrzydłowy — skrajny (napastnik)

używa się zależnie od woli i chęci dla określenia jednej i tej samej pozycji w napadzie. „Skrajny" jest jednakże, zdaniem mojem, najstosowniejszym terminem, który powinien bezwględnie zastąpić „skrzydło" i „skrzydłowy". Określa bowiem stanowisko gracza w linji napadu niemniej ściśle i zwięźle od obu innych określeń, bez potrzeby posługiwania się symbolem skrzydła, nadającym się raczej do lotnictwa niż do piłki.

Łącznik

jest wyrażeniem doskonałem. Pewna różnica zachodzi jednakże w słowach

środkowy (napastnik) — środek (napadu)

tu oświadczyłbym się za „środkiem", podobnie zresztą jak większość publicystów sportowych. Stanowisko to, decydujące prawie zawsze o poziomie drużyny, powinno być oznaczone rzeczownikiem.

W rezultacie poszczególne stanowiska w drużynie należałoby nazwać jak następuje:

bramkarz,
obrońca (prawy i lewy),
pomocnik (prawy, środkowy i lewy),
skrajny, łącznik, środek napadu.

Do wyrażeń innych przejdę w następnym artykule.

Najlepszym środkiem dla podniesienia klasy bramkarzy, byłby podatek gminny od każdego strzelonego gola.

* * *

Kiedy się wraca z Hiszpanji — można przywieźć, zamiast winogron, koszyk wybitych zębów.

* * *

Jest to wielki paradoks, gdy gracze utrzymujący się z piłki, żądają z okazji zawodów wynagrodzenia za „stracony zarobek".

* * *

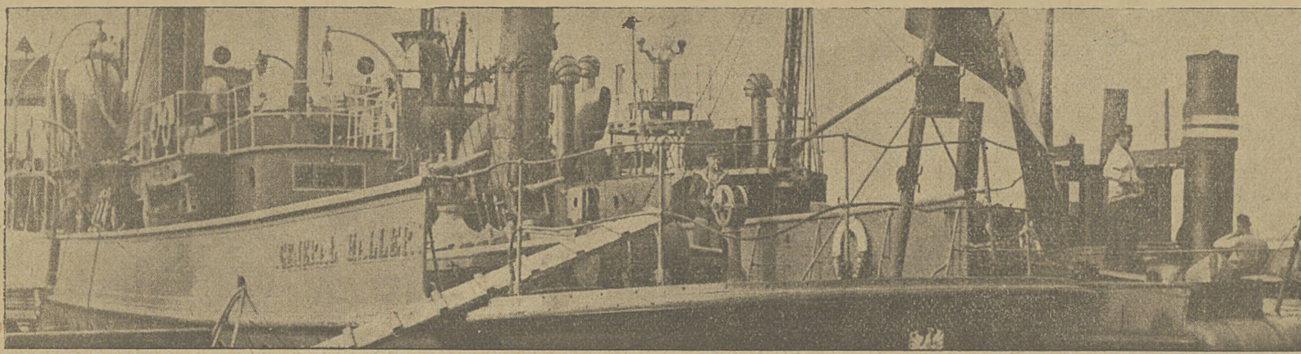
Gracz, który zaczyna podobać się sobie, przestaje podobać się innym.

* * *

Kraje, które cieszą się opinją obiecanej ziemi dla piłkarzy, powinny więcej dbać o swoje kryminały.

* * *

Nikt nie pyta, jak działają nasi działacze sportowi. (tel



Dr. Józef Lustgarten.

Polscy piłkarze wobec Olimpjady.

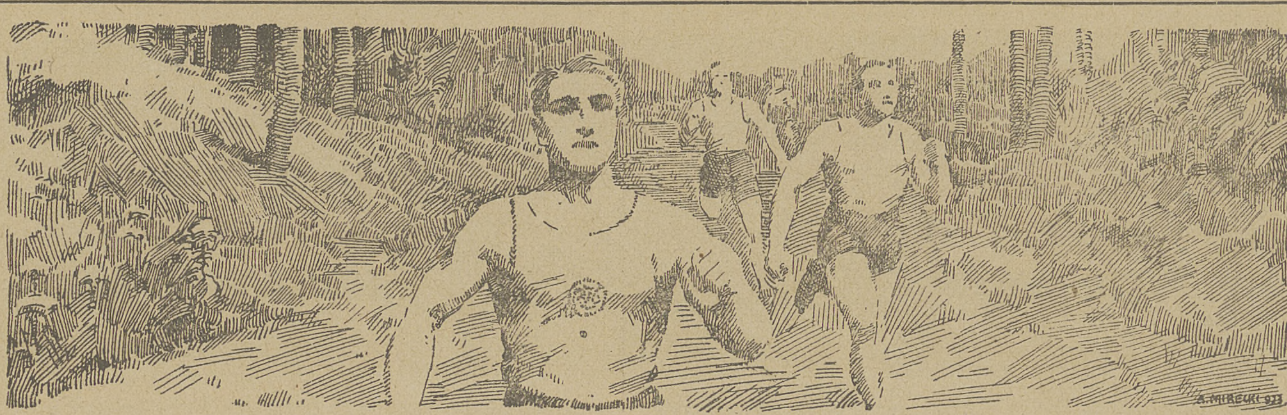
Olimpjada 1924 odezwała się żywem echem w sportowym „światku", bo trudno już dzisiaj mówić o świecie polskim. Dyskusje na temat szans, rozmiarów i funduszów ekspedycji polskiej, stanowią główny temat rozmów polskich sportowców. Narzekania na zupełną bierność rządu i społeczeństwa, wątpliwości i nadzieje co do własnych sił to „porządek dzienny". Nie ulega wątpliwości, że jakkolwiek żywe zainteresowanie jest objawem niesłychanie dodatnim, to jednak stwierdzić wypada, że niestety zbyt dużo się rezonuje i dyskutuje, a stanowczo za mało działa. Nie jest rzeczą niniejszego artykułu podnosić zarzuty przeciw rzekomo „naczelnym instytucjom sportu polskiego" t. j. Związkowi Związków i Polskiemu Komitetowi Igrzysk Olimpijskich. „Zasługi ich i działalność" w stosunku umożliwienia polskiemu sportowi udziału w olimpjadzie bezstronnie oceni historja naszego sportu. Opinja dzisiejsza nie przynosi kołom, które są wykładnikiem organizacji sportowej polskiej, chluby i zaszczytu.

Niepodobna jednak ograniczyć się tylko do zarzutów przeciw Z. Z. i PKIO. Państwowe związki zbyt długo czekały na inicjatywę, któraby wyszła z góry. Obowiązkiem Związków państwowych poszczególnych działów sportu było zorjentować się dość wcześnie w pracy powołanych do przygotowania olimpjady organów i podjąć w własnym zakresie działania akcję przygotowawczą. Dzisiaj wre w kilku związkach praca, zaprzągnięto się z niezwykłym zapałem około umożliwienia wysłania reprezentantów naszego sportu do Chamonix czy też Colombes. Kwestja tylko, czy zapał ten nie przyszedł zapóżno, od olimpjady dzieli nas bowiem zaledwie kilka miesięcy. Związkom państwowym było jednak za wygodnie na zajętem stanowisku. Czekajmy na ZZ. i PKIO., nie wtrącajmy się do spraw do nas „nienależących". Wygodnie, ale czy słusznie?

Olimpjada w 1924, to druga olimpjada, którą interesuje się niepodległa Polska. Już w roku 1920 czyniono przygotowania do olimpjady i wówczas miało się wrażenie, że stadjon w Antwerpji zobaczy pomiędzy innemi także i flagę polską. Najlepiej wyszli wtedy lekkoatleci. Sprowadzono wybitnego trenera szwedzkiego Helgessena i nie ulega wątpliwości, że pobyt jego wpłynął dodatnio na podniesienie klasy naszych atletów. Poczyniono także przygotowania do ekspedycji piłkarskiej. Dla wszystkich uczestników pamiętna będzie zapewne słynna olimpjada u „Kosza", tak bowiem nazwano przygotowania od restauracji, w której zgromadzeni w Krakowie wybrańcy jadali. Jak bowiem zabrano się wówczas do przygotowania polskiej drużyny piłkarskiej? PKIO., który dysponował znacznymi stosunkowo funduszami, utworzył w Krakowie Wydział Piłki Nożnej, którego kompetencje określone były ściśle określonym regulaminem, a który technicznie był zależny od PZPN., administracyjnie zaś od PKIO. Wydział wybrał pewną ilość graczy z całej Polski, którzy zjechali się do Krakowa w marcu i kwietniu 1920 i tu mieli trenować pod kierunkiem angielskiego trenera, którego PKIO. miał zaangażować. W tym celu wysłał PKIO. nawet i delegata do Anglji, ale w końcu pertraktacje utknęły na braku funduszów. Wybrani gracze siedzieli przeto przez dwa i pół miesiąca w Krakowie, gdzie z polecenia PKIO. poddano ich opiece sportowej humorystycznego i poczciwego amerykanina, który o sporcie futbalowym, w szczególności zaś o treningu, nie miał pojęcia. Na zawody swych klubów, do których należeli, wyjeżdżali co piątek, czy też sobotę, a powracali w poniedziałek lub wtorek. Ta idylla trwała tak długo, jak długo starczyło pieniędzy na utrzymanie. Pewnego dnia, w połowie czerwca, olimpjada „skończyła się". Gracze powrócili do domów, a Wydział Piłki Nożnej zapakował rachunki i „inwentarz" w postaci pieczątki i paru funtów druków i korespondencji i przesłał do PKIO. do Warszawy. Z początkiem lipca powiał w PKIO. nowy duch energji. Wezwano PZPN., aby ograniczając się do najniezbędniejszych graczy, podjął trening olimpijski. Wydział gier i dyscypliny sporządził listę graczy, którzy wchodzili w rachubę, trening mieli objąć dwaj polscy sportsmeni. Bolszewicy zniweczyli jednak cały plan, najazd ich uniemożliwił całą ekspedycję polską do Antwerpji.

Już w roku 1920 tak w PZPN. jak i w Wydziale p. n. podniosły się głosy przeciwko systemowi przygotowania piłkarzy na olimpjadę. Zastrzeżenia zakomunikowano wówczas PKIO., a przyjęto narzucony przez Komitet system jedynie dlatego, aby nie wstrzymywać i nie powodować zwłoki w rozpoczętej już akcji. Pomijając, że przedewszystkiem rozchodziło się o zgromadzenie wszystkich wchodzących w rachubę graczy w jednem miejscu, zarzuty z roku 1920 nie straciły nic na aktualności. Toteż jeżeli PKIO. czy PZPN. myśli serjo o obesłaniu olimpjady paryskiej to ze względu na spóźnioną porę powinien zabrać się bezzwłocznie do pracy, a rok 1920 da pewne wskazówki w tym kierunku... czego należy unikać. O tem, aby i obecnie zgromadzono graczy na szereg miesięcy przed wyjazdem do Paryża, mowy być obecnie nie może. Na pierwszy rzut oka jest jasne, że ludzi, którzy z piłki nie żyją, nie można odrywać od ich normalnego zajęcia. O kosztach wogóle nie wspominam.

Z drugiej jednak strony nie ulega wątpliwości, że trening wybranych czy też mających być wybranymi powinien się już rozpocząć. Trening winien być dla wszystkich jednolity, musi przeto być jednolicie kierowany. Najodpowiedniejszym byłby zagraniczny, przedewszystkiem angielski trener. O takim jednak w obecnych warunkach nie podobna myśleć. PZPN. winien przeto uprosić, czy zamianować jednego z wybitniejszych naszych fachowców, aby zajęli się przygotowaniem drużyny polskiej na olimpjadę. Zadanie oczekujące wybrańca jest odpowiedzialne i niewdzięczne. Nie ulega wątpliwości, że osoba jego, na kogokolwiek wybór padnie, nie znajdzie aprobaty. Zadanie odpowiedzialne, bo w razie dojścia do skutku ekspedycji polskiej, on w pierwszym rzędzie powinien decydować o wyborze graczy. Pierwszem zadaniem i to jak najrychlejszem dla „trenera związkowego", byłoby tak go



nazywać będziemy uregulowaniem sprawy treningu. Trener związkowy nie może być równocześnie w wszystkich naszych centrach futbalowych, z drugiej zaś strony, jak już wyżej powiedziano, graczy nie można ściągnąć na jedno miejsce. Rzeczą przeto trenera będzie, dobrać sobie za pośrednictwem Związku pomocników w tych miastach, gdzie jakikolwiek gracz wchodzi w rachubę. Następnie winien ustalić dokładny program treningu. Olimpjada piłkarska rozpoczyna się dokładnie w połowie maja. Notoryczne zaś jest, że tak kluby nasze jak i gracze w przeważnej części układają się do snu zimowego, który kończy się zależnie od pogody wiosennej względnie zależnie od tego kiedy śnieg staje. Normalnie można liczyć, że trening regularny podejmuje się u nas naogół z początkiem marca.

Jasne jest, że okres dwumiesięczny nie wystarczy na odpowiednie przygotowanie graczy na olimpjadę, w szczególności zaś graczy naszych. W przeciwieństwie bowiem do ogółu naszych ewentualnych przeciwników, trening naszych graczy objąć musi nietylko stronę czysto fizyczną, będzie więc miał na celu nie tylko doprowadzenie i utrzymanie drużyny w kondycji fizycznej, ale w znacznej mierze będzie uzupełniał znaczne braki techniczne. Notoryczne jest bowiem, że znaczna liczba naszych „internacjonałów" jest technicznie postawiona na możliwie niskim szczeblu. W Colombes decydować będzie przecież nie tylko siła, szybkość i wytrwałość, lecz także i technika. Dlatego też trener ustalić musi podział pracy w programie treningów. Trening kondycyjny rozpocznie się już teraz. Dotychczasowa pora sprzyja treningowi na boiskach. Gracze, którzy wchodzą w rachubę, zawiadomieni o tem przez Związek, powinni rozpocząć zupełnie regularny trening polegający na biegach, gimnastyce i ćwiczeniach punshing'ballu i maczugami. Treningi prowadzą pomocnicy trenera, którzy kontrolują gracza w ich pilności, ale z drugiej strony bacznie zwracają uwagę, aby unikano wszelkiego przeforsowywania. Nie można przeto stawiać ogólnej zasady i wobec tego, że rozchodzi się o niewielu ludzi, można trening traktować zupełnie indywidualnie. Z chwilą nastania mrozów trening przeniesie się do sali gimnastycznej, ale nie należy pominąć żadnej sposobności do trenowania na wolnem powietrzu. Z chwilą zatem, kiedy zwyczajnie gracze zaczynają myśleć o podjęciu treningu, będą oni fizycznie już doskonale przygotowani zwłaszcza, jeżeli jeszcze, co należy ogromnie popierać, uprawiają jakiś sport zimowy. Wcześniej więc niż zwyczajnie będą mogli ci gracze rozpocząć doroczny trening, gdyż tak nieprzyjazne warunki atmosferyczne, jak i terenowe nie będą stanowiły takiej przeszkody jak to dawniej bywało. Trening piłkowy będzie się również odbywał według programu trenera, a zarówno jego pomocnicy jak i sami gracze będą musieli uważać, aby w zapale nie przeciągnąć struny. Kąpiele, masaże, zachowywanie, naturalnie o ile warunki na to pozwalają, pewnej djety, absolutna abstynencja od alkoholu, to momenty pierwszorzędnego znaczenia.

Gracze wybrani będą, jak to zresztą zrozumiałe, grywali w zawodach urządzanych przez kluby do których należą. Nie ulega wątpliwości, że wszystkim klubom polskim razem jak i każdemu z osobna zależy, względnie powinno zależeć, aby ekspedycja polska na olimpjadę doszła do skutku. Przypuszczać także należy, że każdemu towarzystwu sportowemu w Polsce, które uprawia piłkę nożną, zależy na tem, aby w drużynie, która będzie miała zaszczyt reprezentowania Polski w Paryżu, mieć swych graczy. Można przeto wymagać od klubów, na których graczy padnie wybór, aby graczom tym dali sposobność i możność jak najlepszego treningu. Ze w sezonie piłkarskim takiem najlepszem przysposobieniem są zawody międzynarodowe, w to chyba nikt nie wątpi. Dlatego też nasze kluby czołowe, gdyż w pierwszym rzędzie ich gracze wchodzą w rachubę, powinny przy zestawianiu programu na sezon wiosenny dołożyć wszelkich starań, aby w okresie przed olimpjadą urządzić możliwie wiele spotkań z drużynami zagranicznemi. Spotkania te nawet w naszym klimacie w ostatnim tygodniu marca i przez cały kwiecień można urządzać bez większego ryzyka.

Najmniej na dwa do trzech tygodni przed samym wyjazdem winno się zgromadzić wszystkich wybranych w jednem mieście. Trening odbywałby się tutaj już pod kierunkiem samego trenera i już w ciągu pierwszego tygodnia należałoby przystąpić do definitywnego ustalenia drużyny i rezerwowych. W ciągu tego czasu drużyna rozegrałaby kilka zawodów z silniejszemi drużynami celem wzajemnego poznania się graczy i zgrania. Ze i w tym czasie na pierwszy plan wystąpić winna dbałość o stan fizyczny graczy, o tem już szczegółowo rozwodzić się nie trzeba.

Wyjazd do Francji powinien nastąpić w takim czasie, aby drużyna przybyła na miejsce na tydzień przed swym pierwszym występem. W tym okresie powinna odbyć lekki dwukrotny trening. Przez tydzień gracze zwolna przywykną do odmienego nieco klimatu i co najważniejsza odmiennej zupełnie kuchni. Sprawa wyżywienia graczy jest znowu kwestją, która może mieć decydujące znaczenie. Każdy, kto chociaż raz odbył z jakąś drużyną dłuższą podróż czy zagranicą, czy nawet w kraju, wie o tem z doświadczenia, jaką rolę odgrywa w sprawności i nastroju gracza zmiana kuchni. Toteż sprawa ta łączy się bezpośrednio ze sprawą liczby uczestników ekspedycji.

Kwestję reprezentacji pozostawię na uboczu, zajmę się jedynie osobami, których wyjazd jest niezbędny, przez co jednak nie chcę twierdzić, jakoby reprezentacja była zbyteczna.

Przedewszystkiem ilość graczy. Jeżeli przyjmiemy najgorszy dla nas wynik, to drużyna nasza grać będzie dwa razy t. j. w właściwym turnieju i w turnieju „pocieszenia". Na tej podstawie przyjmuję jako minimalną liczbę 15 graczy t. j. dwu bramkarzy, trzech obrońców, czterech pomocników i sześciu napastników. Nie jest jednak wykluczone, że przy pewnem szczęściu w losowaniu, drużyna nasza rozegra trzy do pięciu meczów. Liczbę graczy należałoby podnieść od 16 do 18. Poza graczami osobami niezbędnemi są; kierownik ekspedycji i kasjer, które to dwie funkcje tylko w ost-tecz-



ności należy łączyć w jednym człowieku. Kierownikiem ekspedycji może natomiast być trener, gdyż przyjmuję, że trener z drużyną wyjedzie, ze względu na to, że w dalszym ciągu sprawować musi pieczę nad fizyczną stroną graczy, ustawiać, czy przestawiać drużynę i t. d. Zabranie własnego kucharza i masażysty pozostanie zdaje się tylko w krainie życzeń, chociaż jak już wspomniałem sprawa kuchni jest donosła. Toteż kuchnią względnie djetą, sporządzaniem codziennego jadłopisu i t. d. zajmie się kierownictwo.

Ogółem liczyć się należy, że ekspedycja składać się będzie z dwudziestu osób. Każdy zrozumie, że koszta takiej wyprawy będą nie małe, jeżeli uwzględnimy, że już trzy tygodnie przed wyjazdem będzie trzeba do osiemnastu osób utrzymywać już w Polsce. Przypuśćmy, że drużyna nasza pozostanie w Paryżu przez 20 dni, gdyż trudno jest, aby wyjechała natychmiast po klęsce, nie korzystając ze sposobności nauczenia się czegoś od innych, to samo utrzymanie ekspedycji w Paryżu przez 20 dni kosztować będzie 3200 dolarów, licząc po ośm dolarów na osobę dziennie. Kwota ta wydaje się na pierwszy rzut oka przesadzona, w rzeczywistości jednak skarbnik ekspedycji będzie musiał dobrze ściskać mieszek, aby jej nie przekroczyć. Utrzymanie bowiem i mieszkanie w wiosce olimpijskiej ma kosztować przeszło trzy dolary, wiadomo zaś, gdyż jest to prywatne przedsiębiorstwo, jak smutno będzie wyglądało to pomieszczenie i wyżywienie. Jeżeli więc cenę w wiosce olimpijskiej przyjmiemy za podstawę kalkulacji, to wówczas kwota powyżej podana przyjmie realne kształty. Do utrzymania dodać należy jazdy, kąpiele, drobne wydatki i rozrywki, co wszystko w okresie olimpjady nie będzie w Paryżu należało do rzeczy tanich.

Koszta podróży 20 osób II. klasą pospiesznego pociągu tam i z powrotem (za punkt wyjazdu przyjmuję Kraków) wynoszą około 1400 dolarów, przyczem sama podróż przez Niemcy około 60 dolarów na osobę.

Łącznie musiałby mieć PZPN. kwotę 5000 dolarów do dyspozycji. Przy daleko idących oszczędnościach może wyjść kwotą o 1000 dolarów mniejszą, ale jestto mocno wątpliwe.

PZPN. potrafi zebrać tę sumę. Na wstępie wspomniałem już, że Związek zabrał się już stanowczo zapóźno do gromadzenia funduszów. Pomimo to nie jest jednak wykluczone, że sumę tę można zebrać. Dotyczczasowa akcja jest jednak absolutnie nie wystarczająca. 5000 dolarów to kwota jak na nasze warunki kolosalna. Odkładanie akcji do wiosny może z myślą, że kluby dostarczą znacznej części potrzebnych funduszów, jest nie na miejscu. Kluby ani nie będą mogły, ani nie będą chciały dać wiele. Należałoby już teraz rozwinąć przeto energiczniejszą popagandę, nie zadawalając się odezwą w prasie sportowej.

Zapytałby może ktoś, czy wskazane jest, aby drużyna polska wzięła udział w olimpjadzie? Twierdzę, że polski futbal powinien być reprezentowany w Colombes. Szanse nasze na zdobycie pierwszego czy nawet trzeciego miejsca są żadne. Spotkamy się w Colombes z drużynami zawodowemi, które od roku przygotowują się do spotkań. Ale twierdzę na podstawie tego co widziałem tego roku, że pomimo biadań fachowców czy pseudofachowców o spadku polskiej klasy futbalowej, że nasi gracze-amatorzy nie przyniosą wstydu barwom Polski, a gra ich, właśnie w tych warunkach i z tymi przeciwnikami, spotka się z należytą oceną i należytem uznaniem. Sportowe społeczeństwo polskie może zawodów naszej drużyny oczekiwać z pełnem zaufaniem.

Dr Henryk Szatkowski.

Czyn Alain'a Gerbault'a.

Obiegająca prasę zagraniczną wiadomość, że Alain Gerbault, znany szampjon tennisu, przeżeglował samotnie Atlantyk, wywołuje w pierwszej chwili wrażenia mieszane.

Budzą się myśli o snobiźmie, brawurze, człowieku zniechęconym do świata i szukającym śmierci, ostatecznie często ruszenie ramionami i niedwuznaczne znaki palcami na czole wyjaśniają zapatrywania. A jednak, jeżeli bliżej zapoznamy się z tą równie awanturniczą jak i bohaterską historją, to wyrasta przed nami postać wspaniała, postać człowieka o nerwach ze stali i woli ze spiżu, postać będąca idealnem wcieleniem sportu, tak jak go pojmować powinniśmy, a niestety niezawsze pojmujemy.

Czyn, którego Alain Gerbault się podjął, był wielkim i śmiałym — sposób, w jaki go pojął i wykonał, stał w zupełności na tym samym poziomie.

Kim jest Gerbault? Otóż w tem pytaniu leży dla nas sedno sprawy. Nie jest to żaden stary wilk morski, żaden fanatyczny oficer marynarki, żaden żeglarz z krwi i kości. Jestto całkiem poprostu sportsman, tennisista i lotnik, człowiek który ukochał pełną rozkosz, płynącą z walki sił człowieka z przyrodą, który zrozumiał doskonałość harmonji sił ciała z siłą ducha. Najlepsze skutki sportu, w najszlachetniejszem znaczeniu tego pojęcia, sprzężenie się sił woli i ducha, wystąpiły u niego jasno i wyraźnie. Duchowa geneza jego czynu tkwi w zupełności w myśleniu sportsmena, w chęci dokonania rzeczy wielkiej i pięknej, podjęcia potężnego wysiłku ciała, a jeszcze potężniejszego wysiłku ducha i woli.

Czem jest czyn Alain'a Gerbault'a? Dla nas, społeczeństwa lądowego, trudną poprostu do zrozumienia jest jego wielkość i doniosłość. Oto sam jeden, samotny człowiek staje do walki z potężnym żywiołem morza, podejmuje się podróży trwającej 102 dni (przeszło 3 miesiące) sam, oparłszy się tylko o własne siły, przebywa przestrzeń około 6.000 km., dzielącą Nowy York od Gibraltaru, przestrzeń, która przez wieki całe była zaporą dzielącą świat na dwie połowy. A wszystkie refleksje, mogące zmniejszyć piękność tego czynu, odpadają odrazu, gdy dowiadujemy się, że Gerbault podjął się tego czynu z pełną premedytacją, że poprzedził je wielolotniemi studjami i długim treningiem, że policzył wszystko co za i przeciw przemawiało i że ostatecznie, roz-

ważywszy wszelkie możliwości — stanął do dzieła i próbę wytrzymał. Nie jest więc ta heroiczna podróż wynikiem próżności lub chęci zaimponowania, nie jest objawem spleen'u lub snobizmu, jest poprostu takim samym czynem sportowym jak rekord lekkoatletyczny, będący wynikiem treningu, rozwagi i gorącej chęci zwycięstwa.

Trzy i pół miesiąca, to długi kawał czasu i jeżeliby komukolwiek przyszło go spędzić samotnie, zapewne nie czułby się tym faktem uszczęśliwionym. Gerbault spędził ten czas na walce z morzem. Za jedynych towarzyszy miał ze sobą swe książki i niebezpieczeństwo fal i wichrów. Jeżeli uprzytomnimy sobie, że do manewrowania nawet tak małym statkiem potrzeba minimalnie 3 ludzi, a równocześnie, że kursa tak dalekie podejmują normalnie statki 1000—2000 razy większe od „Fisenest'a" Gerbault'a, będziemy mieli pewne wyobrażenie o trudach przeprawy. A jeżeli jeszcze dodamy huragany i niepogody, trwające po kilkanaście dni z rzędu, wymagające przez cały czas najwyższego wysiłku woli i ciała, zmuszające do dobami trwającej przymusowej bezsenności i równocześnie jak najintensywniejszej pracy fizycznej, pod ciągłą grozą zatonięcia statku lub zmiecenia przez fale — będziemy mieli, może niedokładny, ale choć w części podobny okres wysiłku woli i nerwów, koniecznego do uskutecznienia tego czynu.



Łódź Alain'a Gerbault'a

przed wyruszeniem w podróż.



Alain Gerbault

na pokładzie swojej łodzi.

Brak w historji jego podróży momentów słabych i niedostrojonych do poziomu całości. I jedyny, w pewnym stopniu może komiczny moment, owo zdziwienie kapitana „Byron'a", który o 630 mil od wybrzeży Ameryki spotkał samotnego żeglarza, ma w sobie wiele z mimowolnego hołdu dla jego dzieła. Człowiek, który tego dokonał, może bez obawy wzniecenia podejrzeń o dążenie do sensacji lub samochwalstwa zapowiadać, że będzie tą fantastyczną podróż kontynuować i dalej w 3 latach naokoło świat przeżegluje. Na razie przyjmuje go Ameryka. Przyjmuje go wspaniale, wraz z drugim krajem sportu i żeglarzy — Anglją, nie szczędząc mu objawów sympatji, szczerego uznania i entuzjazmu. Własna ojczyzna, Francja, chlubi się nim, jako doskonałym objawem potęgi ducha rasy, który niezłamany służbą na froncie i niezdemoralizowany wojną, potrafił tak potężny cel sobie wytknąć — i tak dzielnie zadanie sobie naznaczone wypełnić. Czerwona wstążka Legji honorowej ma stać się jego udziałem jako dowód, że Francja uznaje wielkość jego przedsięwzięcia i dumną jest ze swego dzielnego syna.

Dla nas sportowców jest Gerbault i jego podróż czemś cennem i drogiem. Od dawna bowiem wyidealizowane pojęcia sportu, znane dobrze szwedom pod nazwą idrot, będące zestaleniem sił ducha i ciała w najściślejszem zetknięciu z przyrodą, dla zmierzenia się z jej siłami, czasem przestrzenią, skałą, lodem lub wodą, nie zostało jaśniej i wspanialej zamanifestowane. I dlatego sportowcy całego świata, a mam tu na myśli rzeczywistych sportowców, nie tych z kawiarni, trybun i kłótni klubowych, ale tych z bieżni, rzeki, śniegu i skały, zwracają się ku niemu ze spontanicznym odruchem hołdu i radości, uczestnicząc w tym wspaniałym trjumfie kultury ciała i ducha, sportu najczyściej pojętego.

Sport ma swoich bohaterów. Są nimi postacie zbudowane na miarę gońca maratońskiego, postacie Fischera, przyrodnika-filozofa, zdobywającego wspaniałe szczyty Alp i Kaukazu, a ginącego w śnieżnej lawinie na lodowcach Aletscharnu, Haura, narciarza czeskiego, który broniąc barw Czech w zawodach 50 km, zginął przysypany i zmrożony śnieżną kurniawą na trasie biegu, jest takim bohaterem w całej pełni Alain Gerbault, champion tennisa, lotnik i żeglarz, który samotnie pokonał Atlantyk.



T. Synowiec.

Ze wspomnień piłkarza.

„Kto nie kopał szmacianki, nie może być wielkim graczem“ — aforyzm ten można często usłyszeć z ust znanych graczy. Nie da się zaprzeczyć, że mają wiele słuszności. Kopanie szmacianki, czy małej piłeczki gumowej wyrabia czystość uderzenia, precyzyjne opanowanie piłki i „czucie“ — te wszystkie cechy, które składają się na doskonałe opanowanie piłki, co, żeby przytoczyć opinję Wilsona (patrz ostatni numer „Przeglądu“), powinno być celem nowoczesnego piłkarstwa, jako niezbędny warunek dotrzymania kroku konkurencji międzynarodowej. Niejeden przechodzień wyklina nieraz na kopiących na brukach ulic miejskich berbeciów, gdy przypadkiem celny strzał nadwyręży mu oko lub inny czulszy narząd ciała; niemądry — nie przeczuwa bowiem tego, że ten ulicznik zabłyśnie potem jako gwiazda na firmamencie futbalowym; rozumie się, że w gwieździe tej nie rozpozna jako widz, owego ulicznego nicponia. Mnie, choć lubię przyglądać się tego rodzaju sportowi ulicznemu, nie sądzonem było w ten sposób zacząć karjery, zacząłem bowiem kopaniem prawdziwej „piły“. Jako uczeń I. kl. gimn. chodziłem w r. 1904 na gry urządzane dla młodzieży szkolnej pod okiem starszych uczniów-instruktorów w parku Dr. Jordana, niezapomnianego filantropa i przyjaciela młodzieży. W czasie tych gier kopaliśmy. „w krąg“ ustawieni, do „wieży“, t. j. do drewnianego „trójnogu“, bronionego przez jednego z towarzyszy. To jednak było na dalszą metę zbyt nudne, więc „krążyłem“ tak jak wielu innych moich dzisiejszych kolegów-piłkarzy koło boisk w parku lub też na błoniach, wypatrując czy gdzie nie grają w piłkę. Jeśli to była obca „paczka“, ograniczałem się tylko do przyglądania i nie pozwalałem piłce długo odpoczywać, gdy się znalazła za obrębem boiska lub w nurtach wonnej Rudawy. Czasem zabrakło kompletu i wtedy dobierano sobie graczy z pośród gapiącego się pospólstwa. Naturalnie obsadzano takimi „przybłędami“ co i dziś powszechnie jest praktykowane stanowisko bramkarza, które było w ogólnej pogardzie. Jakie to było szczęście, gdy łaskawy wybór padł na mnie! Taki dzień nie był dla mnie stracony. Stąd pochodzi, że tak ja, jak i wielu innych biedaków, żerujących po błoniach, zacząłem karjerę od bramkarza i jako taki produkowałem się trzy lata, mimo że z czasem nie byłem do tego zmuszany. Grano podówczas według specyficznie „krakowskich przepisów“, które prawdopodobnie były wypływem faktu, że grywano na boiskach 6 i 7, kształtu elipsy. Utkwił mi w pamięci jeden z tych przepisów — bicie karnego lub rogu. Wykonawca robił od słupka bramki, mniej więcej 3 m. szerokiej a z górą 2·5 m wysokiej, wzdłuż obwodu boiska 5 drobnych kroczków (by się zbyt od bramki nie oddalić), a następnie ku środkowi boiska 3 olbrzymie skoki i z punktu leżącego teraz na wprost bramki, wykonywał rzut. Kto żyw lub nie ubity z przeciwnej partji zawieszał się u poprzeczki. Trzeba było nielada sztuki, by piłka przedostała się przez ten żywy mur. Zresztą i lwowscy Czarni, którzy wprowadzili w Krakowie angielski sposób grania, w ten sam sposób długo jeszcze potem tarasowali swą bramkę przy rzucie karnym.

Przyjazd Czarnych do Krakowa w maju r. 1906 wprowadził przewrót w zupełnie dziko dotąd uprawianym sporcie piłkarskim. Kraków wystawił przeciw ukostjumowanym gościom swoją elitę z parku i błoń, która wystąpiła do walki w mundurkach uczniowskich. Byłem podówczas w parku, zdala poprzez szeregi zgrupowanych dookoła boiska widzów obserwowałem figury graczy i piłkę, fruwającą często w górnych przestworach — lecz żal mi było 20 halerzy zapłacić za wstęp, a do „wtryny“ nie miałem nigdy inklinacji (raz tylko w r. 1909, kiedy Cracovia grała na błoniach w czasie ulewnego deszczu z Koszycami, popełniłem tę zbrodnię, już jako juniorek Cracovii i wdarłem się z falą innych w samo pobliże boiska). Gdybym był przeczuł, że ten pierwszy mecz w Krakowie będzie historycznym dla krakowskiego piłkarstwa, byłbym z pewnością — per fas et nefas — znalazł się pomiędzy widzami. Zaraz potem dziwne zaczęły się dziać rzeczy w parku. Furor treningowy ogarnął młodzież. a na boiskach pojawili się gracze w pełnych kostjumach sportowych. Na pierwszy plan wybiły się odrazu dwie drużyny: „białoczerwoni“ pod wodzą Szeligowskiego (dziś pro-



fesora uniwersytetu w Wilnie) i „czerwoni" t. zw. klub Jenknera, między którymi znajdował się czynny jeszcze rok temu jako futbalista Cepurski. Każdy zgadnie, że drużyny te — to dzisiejsze „Cracovia" i „Wisła". Większą popularność wśród uczniów zdobyli sobie „białoczerwoni" a to dzięki Szeligowskiemu. Niewielkiego wzrostu, niesłychanie zręczny, wytrwały i szybki, dobry „dribbler" (zwykle kopał piłkę w przód i przeskakiwał wyciągniętą nogę przeciwnika), a przedewszystkiem straszny strzelec, przytem skromny i ujmujący w obejściu — był on przez szereg lat ideałem i przedmiotem podziwu dla całej młodzieży krakowskiej. Wątpię, by jaki gracz mógł być bardziej popularnym niż „Staszek". Na ulicy nie zrobił kroku, by za nim nie sunęła grupka adoratorów.

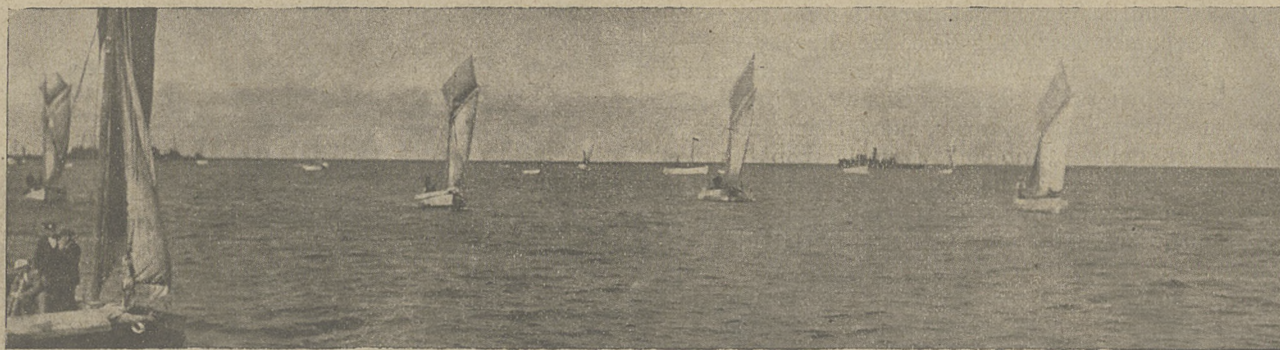
I potrzeba wielkiej ironji losu, by ten ulubieniec doczekał się kiedyś tego, że publiczność przyjęła jego grę — gwizdaniem. Było to zdaje się w roku 1912, kiedy to Szeligowski, mając już nogi do szczętu pokopane, więcej się oszczędzał, co wpłynęło ujemnie na jakość jego gry. Byłem już wówczas stałym graczem I. drużyny „Cracovii" i nic nie sprawiło mi większej przykrości, jak ten wymowny, pierwszy dowód niewdzięczności widzów. Gdy jeszcze ten sam los spotkał w rok później bramkarza Lustgartena na meczu z Czarnymi, miałem już ustaloną opinję o zmienności bywalców meczowych. Od tej chwili postanowiłem sobie nigdy nie grać dla przypodobania się widzom, niczego nie czynić dla zdobycia ich oklasków; widownia przestała dla mnie istnieć, grałem zaś i gram jedynie dla klubu, dla własnej przyjemności i dlatego że sport ten lubię nad wszystkie inne. Odtąd gracze „Cracovii" zawsze w porę, choć to każdemu ciężko przychodzi, usuwają się z areny, gdy czują, że już gwiazda ich zachodzi, bo nie chcą się doczekać tak przykrego końca. Pod wpływem tej obawy czynią oni to nieraz przedwcześnie, jak to zrobił śp. Miecz. Pollak. Jeśli Szeligowski pozostał wiernym swemu klubowi i nieraz potem jeszcze grywał w I. drużynie — ostatnio w ciągu r. 1916 — wystawia mu to jako sportowcowi chlubne świadectwo.



Alain Gerbault.

Przykład starszych nie pozostał bez wpływu: drużyny, przeważnie uczniowskie, wyrastały jak grzyby po deszczu. Nie dużo do tego było potrzeba, bo tylko piłki, gdyż na wymarzonym terenie błoń krakowskich kilkadziesiąt naraz bezimiennych „meczów" odbywać się mogło. Znudziło mi się wciąż szukać okazji do gry: za grosz, uciułany przez udzielanie lekcyj, kupiłem nową piłkę. Zaraz też utworzyła się nowa drużyna, złożona z kolegów, uczniów III. kl. gimn. V. Kapitanem był śp. Antek Poznański, już wtedy najlepszy gracz w drużynie, w której także grywał Silberspitz, do niedawna obrońca Makkabi. Ja pełniłem funkcje bramkarza — notabene nie nadzwyczajnie. Z czasem sprawiliśmy sobie koszulki i już jako „różowi", toczyliśmy przeróżne boje że zmiennem szczęściem. Sielanka ta trwała niedługo: wracamy z wakacji i dowiadujemy się, że Antek poszedł do I. „Wisły". Z jednej strony byliśmy nań oburzeni za zdradę kolegów, lecz w skrytości ducha dumni byliśmy, że z pośród nas wyrósł wielki gracz. Z odejściem Antka „różowi" się rozbili i ja znów zostałem „bezpański", skazany na żywot koczowniczy, mający tyle uroku w sobie, bo każdy bez żadnego skrępowania mógł sobie hasać, ile dusza zapragnie. Popękane i połatane buciki — rozpacz rodziców — i stale rozdarte na kolanach i własnym przemysłem scerowane spodenki były niechybną oznaką wszystkich piłkarzy — wagabundów. O poczuciu przynależności klubowej mowy wówczas nie było: Cracovia i Wisła stanowiły odrębne jednostki zbiorowe, zresztą wszyscy grali tam, gdzie się dało. Jakiś czas trzymałem się razem z kolegami z gimnazjum IV. W owym to czasie miałem coś dwukrotnie gościnny „występ" jako bramkarz w rezerwie Wisły. Stąd poszło, że klub ten oficjalnie uznaje mnie za swego wychowanka. Tymczasem ja wogóle moich przygodnych współgraczy nie znałem bliżej i ani jednego z nich nie pamiętam; zagrałem i poszedłem swoją drogą, a do Wisły nigdy się nie zgłaszałem





jako gracz czy uczestnik. Wychowała mnie nie Wisła, lecz błonia, których byłem narówni z tylu innymi wolnym obywatelem.

W roku 1908/9 pokumałem się na dobre z piątakami gimn. św. Anny. Prawie codziennie kopaliśmy wspólnie po 4—5 godzin. Wtedy to dałem sobie spokój bramkarstwu: jak na „backa" miałem za słaby odkop, w ataku, jako nieumiejącemu wózkować i strzelać (zupełnie to samo co dzisiaj) także nic było po mnie, pozostało miejsce w linji pomocy, którą stale obsadzano największymi „niedorajdami". Na stanowisku lewego pomocnika pozostałem do tej chwili, t. j. przez 15 lat. Nikt wówczas z kolegów nie przypuszczał, że to „chuchro", jakiem wówczas byłem, dochrapie się zaszczytu kapitana Cracovii i reprezantatywki polskiej.

Pierwszy mój publiczny występ, wobec „płacącej" publiczności, odbył się w Wadowicach z końcem czerwca 1909 roku. Wyjechała tam cała nasza "paka" pod nazwą „Rudawa". Lewy skrzydłowy Lewandowski wyjechał już na wakacje, przybyliśmy zatem do Wadowic o 10 przedp. w dziesiątkę w następującym składzie: śp. Marfiak, śp. Dołęga, Biały; ja, Owsionka, Schubert; Zabża jun,. Długocki, Szajnowski, Hetper. Do meczu mieliśmy 7 godzin czasu; wykąpaliśmy się w Skawie i do samego meczu — z krótką przerwą na obiad — trenowaliśmy pilnie. Sił nam nie zabrakło, bo pomimo to wygraliśmy ze „Skawą" 2:0.

Dwa miesiące później dostałem się ni w pięć ni w dziewięć do Cracovii. Wracam z wakacyj, a tu mi donoszą koledzy, że cała partja wstępuje do Cracovii. Zal mi trochę było swobody i samodzielności, trudno mi było pogodzić się z myślą, że teraz będę musiał grać w jednej z niższych drużyn, ale czego się nie robi dla towarzystwa? Jako Cracovia juniores spraliśmy kilkakrotnie II. drużynę i zostaliśmy właściwą rezerwą. Na tym nabytku klub nasz wyszedł nieźle, bo nie upłynął rok, a już Owsionka i ja znaleźliśmy się na stałe w pierwszej drużynie. Także Hetper, Długocki, Szaynowski, Marfiak nieraz zasilali szeregi pierwszej. (W podobnie przypadkowy sposób przyszła Cracovia w posiadanie na wiosnę r. 1912 drugiej takiej drużyny talentów, w której znajdowali się Kałuża, Mielech, Dobrzański i inni. Partja ta była już w Wiśle, a wystąpiła z niej dlatego, że ktoś z zarządu Wisły znieważył jednego z nich. Dostali się oni odrazu w ręce trenera Koželuha).

Do Cracovii wstąpiliśmy w czasie, kiedy ona zaczynała na wielką skalę mecze z drużynami zagranicznemi. Sezon jesienny r. 1909 upamiętnił się pobytem pierwszej drużyny węgierskiej w Krakowie: Kassai AC. z Koszyc, z Bodnarem, późniejszym graczem MAC.-u i internacjonałem, na prawym łączniku. Mecz, prowadzony w czasie ulewy w szalonem wnrost tempie, dał wynik 2:2. Wiosna 1910 roku to okres świetności Cracovii. Drużyna była wówczas w wspaniałej formie, dzięki temu, że miała 4 zagranicznych graczy. Od roku już stałymi członkami byli długonogi, bardzo spokojny w grze i poprawny anglik Calder (prawy obrońca) oraz śp. Just, którego specjalnością było robienie bramek z lewego skrzydła „fałszem", przyczem piłka wpadała w przeciwny (lewy) górny róg bramki. Swieżo przybyli z Wiednia milczący, sztywny, starszy już wiekiem, lewy pomocnik Dlabac (obecnie, mimo, że ma już czterdziestkę na karku, gra on jeszcze w bielskim BBSV.), który należał do WAC.-u w czasach jego największej świetności, oraz przydzielony do służby wojskowej w Krakowie, środkowy napastnik Singer z Vienny. Każdy z nich wniósł nowe pierwiastki i pokazał, jak właściwie na danej pozycji grać należy. Szczególnie owocnym był Singer, który wprowadził do gry ataku kombinację. Już za pierwszym występem, na treningu z Rob. Kl. Sp., kiedy to zręcznem wózkowaniem wodził za sobą i wciągał do kałuży błota laskonogiego obrońcę Pokoja, wzbudzając ogólny śmiech, podbił sobie serca wszystkich Z krajowych nabytków należy podnieść pozyskanie śp. Poznańskiego, który z Szeligowskim tworzył świetną parę na prawem skrzydle. Drużyna w niezapomnianym składzie: Lustgarten; Calder, śp. Pollak: Zabża, Szwarzer, Dlabac; śp. Poznański, Szeligowski, Singer, Miller, śp. Just zaczęła sezon walnemi zwycięstwami z Ostrawskim teamem 10:0, z BBSV. 8:0, z Mor. Slavią z Berna 8:2 (Szeligowski strzelił 6 bramek).

Następnie przyszedł mecz z Törekvesem, a więc pierwszą nagraniczną drużyną pierwszoklasową. Dlabac wyjechał z Krakowa, potrzeba było następcy. Kazano mnie przyjść do szatni. Miałem duszę na ramieniu i byłem szczerze zadowolony, gdy pomoc ustalono: Jacheć, Schwarzer, Zabża. Törekves niespodziewanie przegrał 2:1. Zaraz potem w Zielone Swięta zjechali „Cricketerzy" z Wiednia (obecnie Amatorzy). Zadali oni ciężkie porażki 4:2 i 11:4 białoczerwonym, przyczem pokazali grę dotąd w Krakowie niewidzianą: celowość, współpracę wszystkich linij, krótkie podawanie dołem, grę głową i t. d. Wywołali oni poprostu rewolucję w pojęciach o sposobie gry. Zaczęto mniej kłaść wagi na szybkość i siłę strzałów, a więcej na techniczne wyszkolenie i kombinację. Tydzień później, 25 maja 1910, debjutowałem w I. drużynie dość szczęśliwie. Wisła zeszła z boiska z porażką 2:0. Drużyna czerwonych dotąd miała pewną przewagę nad białoczerwonemi (na 6 meczów wygrała 2, przegrała 1, 3 remis, stosunek bramek 8:7 dla Wisły). W składzie jej figurowali Brożek w bramce, Cepurski w obronie, „głowacz" Stolarski w pomocy, Adamski, Dominiak, Cudek, bracia Rutkowscy i inni. Odtąd szanse przechyliły sią na korzyść Cracovii. Zawodami tymi kierował po raz pierwszy sędzia wiedeński, Vykoukal, który zrazu dzierżył monopol w sędziowaniu innych meczów, by potem ustąpić miejsca swym kolegom wiedeńskim Komarom, Daubkom, Schmiedom, Reichsfeldom, Trinksom, Meislom i t. d.

Od tego dnia aż do obecnych czasów, jeśli uwzględnimy przymusową 4 i pół letnią przerwę wojenną, spędzoną przezemnie na obczyźnie, karjera moja sportowa związana jest z dziejami I. drużyny Cracovii. Przeżyło się z nią okresy doli i niedoli, smutku i radości, siły i słabości. Nie myślę pisać kroniki tego klubu, a więc zaliczenia go w lipcu 1911 do I. klasy austrjackiej, otwarcia własnego boiska w r. 1912, jak zdobył poraz pierwszy rozgrywane w r. 1913 mistrzo-



stwo b. Galicji (w r. 1914 skończono tylko pierwszą serję rozgrywek), a po wojnie mistrzostwo okręgowe w latach 1920—1922 i mistrzostwo Polski w r. 1921 i t. d. Ograniczę się jedynie do wspomnień osobistych.

Niekiedy gracz ma to szczęście, by z tylu meczów wyjść bez poważniejszego szwanku, któryby przerwał jego karjerę. Mnie jakoś przykry ten los omijał (przy pisaniu tego nie omieszkałem popukać w stół). Nigdy mi się nie zdarzyło zejść z boiska (abstrahując od treningu próbnego przed zawodami Lwów—Kraków w r. 1922) i nie dokończyć meczu. Dlaczego? Primo grywałem naogół z przeciwnikami bardzo silnymi, a im lepiej on gra, tem mniej kopie po nogach, a więcej w piłkę, a secundo gracz poprawny, nie lecący na kostki przeciwnika, nie potrzebuje obawiać się rewanżu z jego strony. Można i trzeba nawet iść ostro na piłkę, bo dowiedzioną jest rzeczą, że tchórze najwięcej obrywają kopniaków, ale powinno się to zawsze robić z myślą o piłce, a nie o nogach przeciwnika. Toteż poszkodowań odniosłem znikomą ilość. Ciekawe, że pierwszy mój wyjazd poza Kraków i pierwszy mój mecz z drużyną zagraniczną (wiosna 1910 r.) nie skończył się dla mnie pomyślnie. We Lwowie na meczu z Pogonią (0:1) prawy pomocnik Pogoni wsadził mi tak potężny boks pod serce, że mi na parę minut dech zaparło, w Krakowie zaś w czasie zawodów z DFC. z Berna (obecnie Brünner Sportklub) postradałem jeden ząb. Sam temu byłem winien, gdyż prawy skrzydłowy, tyłem do mnie obrócony, chciał piłkę przerzucić przez siebie, ja zaś w tym momencie wsunąłem mu głowę pod ramię i bęc głową w piłkę, nosek zaś buta bęc w górną wargę i korona mlecznego zęba poleciała na zieloną trawkę. Rozcięta warga i urwany ząb krwawiły, mimo to ani na chwilkę nie zszedłem z boiska. Dawniej gracze nie byli tak delikatni jak dzisiaj. Pamiętam, jak raz Millerowi przy zderzeniu głowami pękła skóra; przewiązano mu naprędce głowę i Miller grał dalej. Poza tymi wypadkami wychodziłem cało, dopiero w r. b. otrzymałem podwójny knock-out w zderzeniu z własnym graczem i nie mogłem tchu złapać. Z pośród moich współgraczy poważnie ucierpiał dwukrotnie Fryc, oba razy zagranicą. W listopadzie roku 1920 graliśmy w Wiedniu z Admirą i WAF.-em. Horejs (WAF, obecnie Vienna, tak wpadł na Fryca, że go nieprzytomnego zniesiono z boiska i w takim stanie zastaliśmy go jeszcze w szatni, gdyśmy po 10 minutach zakończyli grę. Taksamo nieprzytomnego Fryca zniesiono z boiska w Walencji, gdzie osławiony Montes skoczył nań z tyłu (takiego brutala w grze, jak Montes w życiu jeszcze nie spotkałem). Byłem także świadkiem dwukrotnego złamania nogi. W roku 1911 Pollak, kopiąc równocześnie z prawym skrzydłowym piłkę lecącą w powietrzu, tuż przy mnie, przetrącił mu nogę (jak się okazało, gracz ten był rachityczny i nie powinien był wogóle grywać w piłkę). To samo nieszczęście zdarzyło się sympatycznemu Traubowi II. w r. 1914 na meczu z Unionem 92 z Berlina. Były to czyste przypadki, jednak trudno jest opisać, jak przykre wrażenie ogarnia graczy. O normalnej grze wtedy niema mowy.

Od początku istnienia panuje ostra rywalizacja sportowa wśród 4 drużyn małopolskich: Cracovią i Wisłą z Krakowa, Pogonią i Czarnymi ze Lwowa. Najlepszy bilans gier z Cracovią wykazuje z pośród przeciwników krajowych Wisła; Czarni raz tylko wygrali z Cracovią w Krakowie, Pogoń ani razu. Rywalizacja ta przed wojną objawiała się niekiedy w dziwnych formach. Tak n. p. Wisła, która od r. 1910 nie mogła dać rady Cracovii, sprowadziła sobie na mecz jesienny r. 1913 (o mistrzostwo b. Galicji) 3 graczy z Czech. Założyłem, jako kapitan drużyny, wobec sędziego p. Dziułyńskiego protest. W obronie Cracovii grał wówczas Pospisil, do niedawna gracz Sparty (służył wówczas w wojsku), który znał tych graczy. Przegraliśmy wówczas 0:1, lecz punkty nam przyznano. Był to równocześnie jubileusz mego 100-nego meczu w I. drużynie Cracovii. W Czarnych grali wówczas Henek Bilor w środku pomocy i Tadeusz Kowalski w obronie, sławni z tego, że z przeciwnikami nie obchodzili się łagodnie.

Z drużyn krajowych najcięższy orzech do zgryzenia miała i ma Cracovia z Wisłą, bo tu do rywalizacji czysto sportowej dołącza się lokalna. Wisła posiadała tradycyjnie dobrą obronę; trójka Szubert-Bujak-Cepurski trudną była do pokonania. Także w linji pomocy miała Wisła małą przewagę (Stolarski, Polaczek). Natomiast w napadzie miała ona jednego tylko wielkiego gracza, twardokościstego Olejaka; przeciwnicy odlatywali od niego jak od piłki, a jego „szpicaki" dały się we znaki bramkarzom. Największy jego tryumf to 5 bramek strzelonych na meczu Kraków—Lwów we Lwowie w r. 1913 (7:0 dla Krakowa). Oprócz Olejaka na wzmiankę zasługuje także w ataku lewoskrzydłowy śp. Kusy. Wymienieni gracze często reprezentowali Kraków. Cracovia rozporządzała natomiast dobrym atakiem, to też mecze z Wisłą były zmaganiem się ataku z defenzywą. Udawało się to w latach 1910—1913, dopiero w jesieni 1913 r. wygrała Wisła w meczu o mistrzostwo Galicji 1:0, przy pomocy 3 graczy, specjalnie sprowadzonych z Czech. Był to dzień dla mnie jubileuszowy (setny mecz w pierwszej drużynie). Pamiętam także spotkania z Czarnymi i Pogonią we Lwowie. Czarni dzierżący przed wojną prym we Lwowie, mieli paru doskonałych graczy: w bramce Harasymowicz, w obronie Rzadkiego i Kowalskiego, w pomocy Bilora i śp. Koniewicza. Bilor i Kowalski sławni byli z tego, że obok dobrej gry nie obchodzili się z przeciwnikiem łaskawie. Toteż trzeba było widzieć, jak ci dwaj i Singer „lecieli" na się wzajemnie, często w sposób wprost niebezpieczny. Zresztą i „Poganiacze" mieli Singera na pieńku. Poturbował on w roku 1911 gracza Pogoni w Krakowie. W parę tygodni później mieliśmy grać z Czarnymi we Lwowie. Karasiński i Rysiak z Pogoni wstąpili do Czarnych w tym jedynie celu, by się zemścić na Singerze. Uprzedzeni o tem, zażądaliśmy przed meczem usunięcia tych graczy z druzyny Czarnych. Gdy tego nie uczyniono, zeszliśmy z boiska, coprawda przed zaczęciem meczu. Nasłuchaliśmy się wracając do dorożek, wyzwisk bez liku i gwizdów zawiedzionej publiczności, nie obeszło się także bez rzucania kamieniami. Takie same namacalne pożegnanie spotkało nas jeszcze raz potem we Lwowie po



zwycięskiem meczu. Nigdzie indziej zresztą coś podobnego nam się nie zdarzyło W Pogoni grywało wówczas 3 braci Kucharów, pozatem wyróżnićby należało Kammerera. Ja miałem zawsze do czynienia z Karolem Kucharem na skrzydle Biedny, młodziutki Wacek nasłuchał się dość nauk od brata.

Z całego szeregu meczów z drużynami zagranicznemi tylko niewiele utkwiło mi w pamięci. Przedewszystkiem rekordowa klęska z praską Spartą (15:1) z początkiem września 1910 r. Sparta wówczas świeżo wstąpiła do Zw. Austrjac., była więc wielkością nieznaną. Takiego przeciwnika wybrała sobie Cracovia na początku sezonu, kiedy gracze po 2 miesiącach wrócili z wakacyj bez treningu. Do tego jeszcze niektórzy z naszych obiecywali Sparcie 4:0. Sparta wzięła na kieł i waliła ile wlezie. Po kwadransie mieliśmy wszyscy dość, a Weyssenhoff w środku pomocy (brak było Caldera) nie był żadną zaporą dla trójki Belka-Pilat-Vanik. Miałem respekt przed Belką, bo opowiadano, że ma życie jednego gracza na sumieniu. Atak nasz rzadko dostawał piłkę, a ponadto Szeligowski usunął Millera z powodu jego słabej gry. Postąpił niesłusznie, pod wpływem ogólnej depresji; Miller stary gracz, bez słowa protestu usłuchał kapitana: takie wówczas było pojęcie karności sportowej na boisku! Była to — obok meczu z Criketerami — jedyna dotąd dwucyfrowa porażka Cracovii. W ten sposób zaczęty sezon ułożył się bardzo niepomyślnie. Od Rudolfshügla, MAC-u, Pardubic, Smichova dostawaliśmy dość porządne lanie. W maju następnego roku urządzono na boisku pozlotowem turniej z udziałem Czarnych i Reprezentacji Wiednia. Pierwszy mecz Cracovia—Czarni dał wynik 2:0. Nazajutrz stanęli Czarni do walki z wiedeńczykami, którzy przyjechali pod kierownictwem prezesa Związku dr. Abelesa w bardzo silnym składzie: Weinber; Retschury (Vienna), Popowich (Amat.); Kolarik (Sportklub), Preiss, Löwenfeld (Amat.): Müller, Neubauer (Sportklub), Kuthan (Rapid)... (Rudolfshügel) i Hagen (Floridsdorf). Chodziłem wówczas wzdłuż linji bocznej, by obserwować grę prawej strony ataku. W ciągu 5 minut już 3 piłki „siedziały“ w siatce lwowian (końcowy wynik 12:0). Skóra na mnie cierpła, gdym widział, co wyprawia trójka Sportklubu. Lecz nie taki straszny djabeł. Na drugi dzień jakoś szło i gdyby nie słaba gra Lustgartena w bramce, wynik mógł łatwo być nierozstrzygnięty. Skończyło się 6:3 dla Wiednia. Najlepszym na boisku był śp. Poznański, strzelec 2 ślicznych bramek, który robił z przeciwnikiem co chciał. Brano go później poważnie w rachubę przy zestawianiu reprezentatywki austrjackiej. Był on jednak polakiem i graczem prowincjonalnym... Mecz ten zapewnił białoczerwonym wcielenie ich do I. klasy austrjackiej. W r. 1914 gościła w Krakowie jedyna dotąd drużyna berlińska; Union 1892. Prusacy byli bardzo butni i pewni zwycięstwa, przyjechali przecież do zakazanej mieściny prowincjonalnej. by pokazać jak się gra w stolicy. Odniosło to taki skutek, że wrócili jak niepyszni z klęskami 0:5 i 0:7! Tak to zbytnia pewność siebie zawsze się mści.

Jak trudno się rozstać z piłką, przekonałem się dopiero w czasie wojny. Wyjechałem 2 tygodnie przed wybuchem wojny do Rosji na 6 tygodni jako korepetytor. Po odsiedzeniu 10 dni w „tiurmie“ jako obcy poddany puszczono mnie znów na wolną stopę. W r. 1915 osiadłem na przeciąg 3 lat w Kijowie. Dowiedziano się o mnie i wciągnięto do drużyny Polsk. Twa Gimn. W drużynie tej znaleźli się później Wysoglad, środkowy pomocnik Kresów tarnopolskich i Janusz Mück (obecnie Polonia). Kijów posiadał tylko jedno boisko przy politechnice, która rozporządzała najsilniejszą drużyną (grali w niej polacy Hulanicki, Bolewski, Zboromirski). Reszta drużyn, z których najsilniejsze były „Lubiticki sporta“ i Sokół czeski wiodły żywot koczowniczy na czemś podobnem do naszych błoń. Przynosiło się kostjumy i przybierano się pod gołem niebem koło boiska, rozgrywało zawody i koniec. Współżycia towarzyskiego nie było prawie żadnego. Mieliśmy w drużynie obrońcę Iwaszkiewicza, wobec którego Fryc jest niewiniątkiem i kapitana dla „góralskiej“ czupryny „Mańka“ powszechnie zwanego, który za punkt ambicji uwziął, by się nie dać wywrócić na ziemię. „Libitieli“ mieli oryginalnego lewego skrzydłowego Piotrowskiego, który grywał stale... w pantofelkach (zabił go piorun, gdy w czasie zawodów schronił się pod drzewo). Wogóle w Kijowie grano twardo, ostro (odczułem to na własnej skórze, gdy na zawodach w letnisku pod Kijowem tak mi sprepa- rowano ścięgna czy stawy w kolanie, żem przez pół roku nie opuszczał łóżka). To też z prawdziwą przyjemnością grałem po wyzdrowieniu, już jako profesor w gimnazjum polskiem z Sokołem czeskim, który miał w ataku 4 graczy z Czechosłowacji (Myńk, Hanke, Hromadka) Z czasem się zmanierowali, wózkując nadmiernie, lecz mimoto była to podówczas, dzięki temu atakowi, najlepsza drużyna. Strzelili oni nam po pauzie śliczną wyrównująca bramkę. Sędzia jej nie uznał (bramki były bez siatek) oburzeni czesi przerwali zawody. Po wybuchu rewolucji sport zamarł zupełnie: boisko politechniki zajęto pod automobile wojskowe. Błonia zaorano Rok szkolny 1918/9 spędziłem jako profesor gimnazjalny w Ostrogu na Wołyniu (pogranicznem mieście Polski). I tam nie zapomniałem o piłce, którą kopałem z uczniami pospołu. W maju, r. 1919, gdy „siczewiki“ odebrali z powrotem bolszewikom Ostróg, zakończyliśmy rok szkolny i puściliśmy się do Polski. Udało się nam szczęśliwie przedostać po 2 dniach do Kowla. Wróciłem do Krakowa w przekonaniu, że do pierwszej drużyny się już nie nadam. Znalazłem większość kolegów przy życiu i wraz z nimi zacząłem znów bezkrwawe walki sportowe.

Okres powojenny, nad krórym, jako świeżo tkwiącym w pamięci wszystkim, nie będę się rozwodził, stoi pod znakiem gier o mistrzostwo Polski reprezentacyjnych, oraz podróży zagranicę. Przed wojną grałem jedynie w Warszawie, Budapeszcie, Wiedniu i Opawie, w okresie powojennym poznałem dzięki piłce nietylko ważniejsze miasta Polski (z wyjątkiem Wilna), lecz i przeszło pół Europy (Danję i Szwecję, Hiszpanję, Francję, Jugosławję, Austrję, Węgry, Czechosłowację, Niemcy i Szwajcarję). Wrażenia z tych podróży nie dadzą się ująć w szczupłych ramach artykułu. Dla uczestników są one najmilszą pamiątką na całe życie, a zawdzięczają one jedynie sportowi i — klubowi do którego należą.



Turniej szermierczy o mistrz. armji w Warszawie.

W dniach 13 i 14 bm. odbył się w salach szkoły podchorążych w Warszawie wielki turniej o mistrzostwo armji przy udziale około 50 współzawodników. W końcowych rozgrywkach I kł., I-e miejsce na florety przypadło por. Zabielskiemu (DOK. Kraków), członkowi tut, AZS., na szable por. Laskowskiemu (Warszawa), zaś na szpady rotm. Segdzie (DOK. Kraków) również członkowi S. S. A. Z S. i uczniowi zasłużonego mistrza Linnemanna. Mimo oczywistego faworyzowania przez jury byłych frekwentantów Centr. Szk. Gimn. Sport. w Poznaniu (por. Laskowski i Berski) zdołali ci ostatni uzyskać I-sze miejsce zaledwie w jednej broni, a jak donosi prasa warszawska. sukces szermierki krakowskiej byłby kompletny, gdyby sędziowie spełnili swój obowiązek jak należy. Nadmienić wypada, iż w zawodach tych nie brali udziału najsilniejsi szermierze S. S. A. Z. S. a mianowicie pp. Dr. Ader, Pappe i Winkler, których zobaczy Warszawa na zawodach o mistrzostwo Państwa Polskiego w marcu 1924 r, Bliższe szczegóły zawodów wraz z tabelą uzyskanych miejsc podamy w następnym numerze.

Komunikat P. K. I. O.

Komitet Olimpijski zwraca się niniejszem, za łaskawem pośrednictwem prasy sportowej, do wszystkich instytucyj i osób, którym przesłane zostały listy składkowe na fundusz olimpijski o pokwitowanie ich odbioru (pocztą) na specjalnych kartach zwrotnych dołączonych każdorazowo do wysłanego przez Komitet pisma.

Jednocześnie zawiadamiamy, że na każde pisemne żądanie, Komitet będzie wysyłał listy składkowe tym osobom, względnie instytucjom, które podejmą się akcji zbiórkowej. Wszelkie ofiary zebrane należy niezwłocznie wpłacać na konto Funduszu Olimpijskiego P. K. O. Nr. 8230. skąd są one natychmiast podejmowane i chronione od dewaluacji.

Z życia organizacyjnego.

Walne zebranie Sekcji piłki nożnej K. S. Cracovia odbyte dn. 8. b. m. w lokalu klubu przy ul. Stolarskiej 6, wybrało nowy Zarząd w dotychczasowym jego składzie: Kierownik Dr. Michał Hładij, zastępca J. Kałuża, sekretarz Andrzej Przeworski, zastępca Sierosławski, skarbnik J. Matuszecki, kronikarz por. Kroczyński, referent przyjęć kpt. Dr. I. Izdebski, zastępca J. Berger, referent drużyny młodszych Dr. J. Lustgarten, kapitan pierwszej drużyny Synowiec. Członkiem honorowym Sekcji (pierwszym wogóle) wybrano p. Jana Kowalskiego. Poświęcono serdeczne słowa wspomnienia zmarłym w r. b. długoletnim graczom I. drużyny śp. Karolowi Justowi i Mieczysławowi Pollakowi. Przewodniczący wyraził imieniem Zarządu, gorące podziękowanie Dr. Lustgartenowi, G. Rogalskiemu, St. Mielechowi, Tad. Dąbrowskiemu, Tad. Prochowskiemu, Popielowi, Synowcowi, Styczniowi i Kałuży, którzy przez 10 lat lub z górą 10 lat grali w barwach klubu. Cikowskiemu zaś z okazji 200 meczu, rozegranego w I. drużynie, wręczył upominek (srebrną papierośnicę).

W dniu 23 b. m. o godz. 5 popoł. odbędzie się w Sali Towarzystwa technicznego ul. Straszewskiego 28, Walne Zebranie członków Tatrzańskiego Tow. Narciarzy, połączone z Nadzwyczajnem Walnem Zebraniem Jubileuszowem z okazji 15-lecia T. T. N.

Aforyzmy sportowe.

Pan X. umie jeździć na wszystkich wiązaniach z wyjątkiem huitfeldów, których jedynie używa.

* * *

Nie kłóć się, które wiązanie jest lepsze, gdy nie umiesz jeździć na żadnem.

* * *

Nie smaruj butów, jak wybierasz się wysmarować paszczę u Karpia.

* * *

Nim opowiesz o spotkaniu z niedźwiedziem, namyśl się czy w słuchaczu spotkałeś osła.

* * *

Zawodnik nie wie nigdy ile metrów skoczył. Wie jednak zawsze, że skoczył więcej niż mu policzyli.

* * *

Kto się nie krzywił otrzymując nagrodę, nie będzie się nadymał pokazując ją innym.

* * *

Zwycięstwu sportowemu kobiety — towarzyszy klęska kobiecości.

* * *

Nie byłoby kobiet w sporcie, gdyby skasowano widownie.

* * *

Mężczyzna uprawia sport, kobieta oddaje się sportowi.

* * *

Jeżeli zwycięstwo ogłupia czasem mężczyznę, to kobietę pozbawia przytomności.

* * *

Uwierzę w sport kobiecy, gdy jaka matrona przepłynie kanał La Manche z dwanaściorgiem dzieci.

* * *

Jeżeli sport zmierza do odrodzenia ludzkości to dlaczego mistrzynie sportowe nie chcą rodzić.

* * *

Znam wiele weteranów sportowych — weteranki sportowej nie chciałbym sobie nawet wyobrazić. *(tel)*

Kartę tytułową i winjety rysunkowe wykonał Stefan Mirecki, Kraków. — Zdjęcia fotograficzne ze zbiorów Dra Tadeusza Cypriana.



Z mistrzostw Akademickich Związków Sportowych w Polsce
rozegranych w lipcu 1923 roku w Krakowie przy sposobności 15-letniego jubileuszu A. Z. S.-u krakowskiego.



Redaktor naczelny: Ferdynand Goetel. — Redaktor odpowiedz. Tadeusz Synowiec. — Wydawca: Towarzystwo wydaw. „Przegląd Sportowy“ Ska z ogr. odp.
Drukarnia „Sztuka“ w Krakowie, Sobieskiego 16.